



K. DANRIT

Gzłowiek-Ptak



CZŁOWIEK-PTAK.

KAPITAN DANRIT.

CZŁOWIEK-PTAK.

Przekład z francuzkiego

Edmunda Jezierskiego.

(Z ilustracjami).

WARSZAWA.—1912.

NAKŁAD AKC. TOW. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT.”
WYDAWNICTWO „PRZYJACIELA DZIECI.”



840 - 311.2



32-
R. 291
28/2.462

I.

Torpeda japońska.

— Więc jednym słowem, pan, drogi inżynierze, co pan stawia wyżej—aeroplan czy aerostat?

— Aeroplan, sir Archibaldzie, bez wątpienia aeroplan! Jest on prosty, szybki i za nim jest przyszłość!

— Lecz w nim również kryje się upadek i śmierć niechybna w razie zepsucia się motoru.

— O! zepsucia motoru... Przedewszystkiem liczba nieszczęść stopniowo się zmniejsza. W obecnych czasach motory dosięgły prawie że szczytu doskonałości, tak samo, jak i maszyny parowe.

— Prawda, widzieliśmy na próbnym wzlotach aeroplanów w roku ubiegłym, że trzymały się w powietrzu po trzydzieści godzin: przepysznie! Posunęliśmy się daleko naprzód od tych błędzeń po omacku i doświadczeń, które

zakończyły się przelotem Bleriot'a przez Pas-de-Calais i doświadczeniem Lessepsa.

— Potem,—ciągnął dalej inżynier,—nie-
szczęściom zapobiegać będą spadochrony, mo-
mentalnie napelniane balony, skrzydła plane-
ra,—wszystko to da lotnikowi możność od-
dzielenia się od swej maszyny i spokojnego
opuszczenia się na ziemię.

I, stojąc na mostku dyżurnego oficera,
młody francuz wyciągnął ręce, i zrobił gest,
jakby chciał wzlecieć.

— Mimo to, drogi Rembeau, — rzekł ze
śmiechem lejtant Forster,—wieziemy do Med-
wey aerostat.

— Tak, w braku czegoś lepszego. Jeże-
libym miał możność zbudowania i wypróbo-
wania aeroplanu, szkic którego mam w kie-
szeni, to sprawy rządu waszego poszły by zu-
pełnie inną koleją, zapewniam pana! Lecz
to jeszcze nie jest rzecz przebrzmiała, gdyż
licze...

Niespodziewany ruch amerykańskiego ofi-
cera, który schwytał go za rękę, przerwał roz-
mowę.

— Widział pan, jak coś mignęło?...

— Okręt?

— Tak, tam, u prawej burty! Przelotny
cień, coś bardzo nisko nad wodą.

— Daleko?

— O pięć lub sześć jardów. W tak cie-
mną noc bardzo trudno określić odległość...

— Podczas naszej rozmowy wznosiłem
się w przestworzach i nic nie widziałem na
wodzie.

Oparci o balustradę, obydwa młodzi lu-
dzie wpatrywali się w ciemność, i przez pe-
wien czas słychać było tylko powolny i pra-
widłowy oddech maszyn i plusk fal, rozbija-
jących się o burtę okrętu.

— Okręt bez ogni wśród fal Oceanu
Spokojnego, — mruczał inżynier, — to niepra-
wdopodobne!

— Żeby tylko...

— Poczekał pan, sir Archibaldzie, zga-
dłem pańską myśl: żeby tylko ten okręt nie
był japońskim!

— Zgadł pan i można było to widzieć
w Port-Arturze. Dla tych przeklętych japoń-
czyków nie istnieją ani przepisy morskie, ani
prawa międzynarodowe. Pałają oni nienawi-
ścią do nas i żywią gorącą chęć zagarnięcia
wysp Hawajskich, leżących na połowie dro-
gi między dwoma lądami. Roi się na tych
wyspach od nich i wypada tam sześciu żół-
tych na jednego białego. Tworzą też tam ści-
śle i tajemnicze związki, i jeżeli by mi ktoś
powiedział, że sformowani są w pułki, nic a nic
bym się nie zdziwił. I kiedy rząd przysle im

z Tokjo broń, wtedy wrzucą nas w morze, nawet nie uprzedzając o tem...

— Ach, teraz i ja, sir Archibaldzie, zobaczyłem tam coś, lecz z lewej strony...

— Widzi pan, mnie się nie zdawało... Trzeba zaraz uprzedzić komendanta...

— Komendant pewno jest w kajucie! — rzekł inżynier, — w takim razie niech pan go nie wzywa — ja pójdę do niego sam.

I młody francuz zręcznie zeszedł po schodach kręconych, łączących pokład z mostkiem oficera dyżurnego, tymczasem gdy jego towarzysz, starszy oficer na „Mackenzie“, szeroko rozwartemi oczyma wpatrywał się w tajemniczy, czarny cień, który w wyobraźni jego ukazywał się na grzbiecie ciemnych fal pod postacią nadwodnych części okrętu i podwójnych kominów parowych krzyżowców.

* * *

„Mackenzie“ był pięknym i wielkim okrętem, odbywającym normalne kursy między S.-Francisko a Jokohamą.

Normalną szybkość okrętu, od 15 do 18 węzłów, zmniejszono do 11, przez włożenie na niego obowiązku nie odłączania się od dwóch wielkich barek żaglowych, obciążonych węglem i mających rozkaz podążania tuż obok okrętu. Obie łódki: „Kanadyjczyk“ i „Bona-

wentura,“ można było widzieć w odległości nie więcej jak pół mili, obydwie z zapalonymi ogniami.

Mała ta flotylla wyszła z San-Francisko w kierunku wyspy Medwey — najbardziej położonej na zachód z łańcucha wysp, tworzących grupę Hawaji lub Sandwich. Nieznana jeszcze większości żeglarzy, ta płyta skalista jest ostatnią w archipelagu, położonym między 157° i 178° długości zachodniej i tworzącym jakby naszyjnik długości 2500 kilometrów. Największy kamień tego naszyjnika, znakomity wulkan Mauna-Loa — dochodzi do 4200 metrów wysokości, a najmniejszy — wyspa Medwey — wyobraża z siebie prosty złom skalny, występujący nie więcej, jak na 40 metrów nad powierzchnię wody. Lecz tą skałę Medwey, wolą Stanów Zjednoczonych, zamieniono na pierwszorzędną fortecę, strzegącą największych składów węgla w tych stronach. W ostatnich czasach z gorączkowym pośpiechem starano się uzbroić tą fortecę na to, ażeby na wypadek wojny, zapewnić flocie amerykańskiej zapasy opału o dwa tysiące mil od Jokohamy *).

*) Odległość między Jokohamą a San Francisco wynosi 5500 mil.

Wszystkie trzy okręty szły zwolnionym biegiem dlatego, ażeby orjentować się w dzień pomiędzy rafami, tworzącemi przy wyspie Medwey szereg kamieni podwodnych.

Ładunek „Mackenzie” składał się nietylko z węgla. W składach jego mieściła się znaczna ilość naboju do szesnasto-calowych dział, skrzynki z ładunkami i całe urządzenie aerostatu, przygotowanego przed trzema miesiącami w warsztatach francuzkich Moissona.

Od czasu, gdy dokonane zostały próby z aerostatami, rząd w Washingtonie nie znalazł nic lepszego nad aerostat dla utrzymania komunikacji pomiędzy Honolulu, wielkimi wyspami i tym niedostrzegalnym złomem skalnym, Medwey, który tak niespodziewanie zdobył tak wielkie znaczenie.

Inżynier francuski, Maurycy Rembeau, otrzymał polecenie dostarczenia aerostatu władzom amerykańskim i utworzenia załogi dla manewrowania nim.

Był to młody, gdyż zaledwie trzydziestoletni, przystojny, zgrabny młodzieniec, średniego wzrostu, ze śmiałym spojrzeniem. Na widok śmiałych wzlotów aerostatów: „Patrie,” „Republic,” „Miasto Paryż” i „Miasto Nancy” zrodziła się w nim gorąca namiętność poznania umiejętności, koniecznych dla zdobycia przestworzy. I od czasu, jak nauka ta olbrzy-

miemi krokami posuwała się naprzód i do przestarzalej już aeronautyki dodała nowe cuda awiacji, Maurycy Rembeau marzył o pobiciu wszystkich znanych do czasu tego rekordów, i pozostawiwszy daleko za sobą wszystkie czyny Bleriot’a, Lathama, Farmana, Wright’a i Paulhan’a, postawić ostatecznie na pierwszym miejscu Francję. Udając się na wyspy Sandwich, był ostatecznie dalekim od myśli, że wypadki wkrótce dadzą mu możność pobicia bezprzykładowego rekordu.

* * *

Wchodząc w ślad za komendantem „Mackenzie” — starym wilkiem morskim, rzucającym jakieś niezrozumiałe frazesy pod adresem „tych przeklętych japończyków,” Maurycy Rembeau musiał przejść obok łódki swego aerostatu, leżącej na pokładzie. Obejrzał machinalnie wszystkie jej części, jak robił to co rano. Łódka przymocowana była linami do pokładu i przykryta płótnem nieprzemakalnym, sprawiając w mroku wrażenie łodzi o nader prymitywnem urządzeniu.

Powłoka aerostatu umieszczoną była pod pokładem, w chłodzie, obok skrzyni z nabojami. Tam również znajdowały się liczne balony ze ścieśnionym wodorem, w ilości nor-

malnego zapasu, koniecznego do napełnienia aerostatu.

Dokonawszy oględzin, inżynier, oszczędzając łódkę, skierował się wzdłuż burty i w czasie tym uwagę jego zwróciło skrzypienie bloku. Zatrzymał się. Hałas ten dobiegał od jednej z wiszących łódek, od szalupy lewej burty.

Dziwna rzecz: łódka ta spuszczała się powoli i sama przez się i ruch ten sprawiał w ciemności tak fantastyczne wrażenie, że francuz podszedł bliżej. Naraz figura, siedząca tam na piętach i majstrująca coś przy łańcuchach, na których łódź wisiała, wyprostowała się i zrobiła ostry ruch ręką. Człowiek ten zarysował się w całej postaci. Z obnażonym torsem, w krótkich spodniach, z ciemnym pasem, trzymał w ręku topór, ostrze którego błysnęło w ciemności, kiedy szykował się, ażeby przetrąbać drugą linę.

Lecz chybił i wypuścił z rąk topór, który upadł na pokład, o kilka kroków od Maurycego Rembeau.

Ten ostatni rzucił się naprzód z okrzykiem:

— Komendancie!

Lecz nie zdołał zatrzymać tajemniczej osobistości, która, bez żadnej wątpliwości, skorzystała z powolnego biegu statku, ażeby spróbować ucieczki w jednej z szalup.

Co oznaczała ta ucieczka? Inżynier nie tracił czasu na rozwiązanie tej kwestyi i podążył do schodów, prowadzących na pomost. Lecz kiedy ukazał się tam, dziwny szum zmusił go do podniesienia głowy. Silny szelest przebiegł nad głową jego wśród mroków nocy, dało się słyszeć uderzenie wskutek upadku ciężkiego ciała jakiegoś w wodę w niedalekiej odległości, i niespodziewanie jaskrawe światło wskazało miejsce upadku. Silne źródło światła biło, zda się, z głębi fal, zupełnie jakby w miejscu tem utworzył się mały krater wulkanu. Wszystko to działo się tak blisko, że słyhać było nawet szum gazu, wydobywającego się z niewidzialnego otworu. Schody, cały korpus „Mackenzie“ oświetlone były, jakby wśród dnia białego.

Komendant okrętu amerykańskiego rzucił jakieś straszne przekleństwo i podążył do tuby, łączącej go z całym okrętem.

— Wszyscy na górę!—krzyknął w otwór. Potem, zwracając się do starszego oficera, rzekł:

— Nabić armaty, sir Forsterze!

— Otoczeni jesteście przez japończyków, komendancie,—zawołał lejtnant—tylko oni posiadają takie acetylenowe naboje.

I dał kilka krótkich i przejmujących gwizdków.

Na parostatku zapanowało zamieszanie, ze wszystkich stron ukazali się nawpółubrani marynarze.

— Naszykować działa! — krzyczał lejtnant.

Maurycy Rembeau chciał podzielić się z obydwoma oficerami dziwnym wypadkiem, którego był świadkiem, lecz uwaga komendanta „Mackenzie” była w zupełności pochłoniętą przez jego parostatek. Wpatrywał się w mrok nocy po to, ażeby znaleźć tajemniczy okręt, któremu zawdzięczali to niespodziewane oświetlenie.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości i sir Archibald Forster miał zupełną słuszość: ten nabój acetylenowy był japońskiego pochodzenia.

Napełnione karbidem, lecz z cienkimi ściankami, dla tego, ażeby mogły pływać ostrzem do góry, te pociski oświetlające wyrzucane są przez armaty z ściętnionem powietrzem, w rodzaju tych, jakie były ustawione przez inżyniera Zalińskiego na „Wezuwjuszu,” oraz zaopatrzone są w rurę centralną, gdzie przedostaje się woda, tworząca acetylen, który, swoją drogą, zapala się przy pomocy sodu u samego wyjścia.

Sila światła tego pocisku przewyższa tysiąc świec i trwałość jego, wachająca się mię-

dzy dziesięciu minutami a godziną, daje możliwość korzystania z niego przy najróżnorodniejszych okolicznościach.

Głuchy huk z tyłu zmusił wszystkich do odwrócenia się w tą stronę. Załoga na „Mackenzie,” tłocząc się przy balustradzie, krzyknęła:

— Kanadyjczyk! Patrzcie na „Kanadyjczyka!” W tem miejscu, gdzie niedawno widniały trzy ognie najbliższej łodzi żaglowej, widniał w tej chwili olbrzymi kłęb żółtego dymu.

— Torpeda! — mruknął komendant „Mackenzie.” I znów krzyknął przez tubę:

— Palić! śpieszcie się! żywo! szybko!

Potem zwracając się do sternika, rzekł:

— Północ — czterdzieści! Prędej, Johnson!

Dał się słyszeć nowy huk; słup pary, białe fontanny ognia zmieszały się z dymem pyroksyliny: wybuchły teraz kotły węglarki. Tylko dym ukazał się na tem miejscu, gdzie znikła para.

To zatopienie wśród nocy, w czasie pokojowym szczególnie, wywarło straszne wrażenie.

Coś ciemnego przemknęło na lewo, mniej niż o pół mili. Starszy oficer znów zawołał:

— Do dział! Prędeż, Peary! Patrz na lewą stronę, w tył! Strzelajcie!...

Lecz na statku amerykańskim panowało niezwykle zamieszanie. Marynarze biegali po pokładzie jak oszaleli i komendant w żaden sposób nie mógł zebrać obsługi do dział. Zaopatrując okręt w działa, gubernator Stanu Kalifornji objaśnił, że sytuacja jest bardzo poważną i że należy spodziewać się napadu. Lecz komendant „Mackenzie” już na czwarty dzień żeglugi zaprzestał ćwiczeń z działami—stały bezczynne po całym szeregu fałszywych alarmów; naboje do armat były zamknięte w składzie na klucz. Oto dlaczego zostały przyniesione przez kanonierów, po upływie długich, zda się bez końca, pięciu minut.

Lecz w co strzelać?

Stalowe wrzeczono, które dopiero co pokazało się na wodzie, znikło...

Niewypowiedziane uczucie dławi wszystkich za gardło. To oczekiwanie torpedy, w nocy, kiedy niewidzialny wróg krąży w około skazanego na zgubę okrętu, staje się, według zdania wszystkich marynarzy, jednym z najbardziej męczących udręczeń.

Marynarze biegali na wszystkie strony: jedni obwiązywali się pasami korkowymi, inni rzucili się, nie czekając rozkazów, do łódek.

Dał się słyszeć krzyk:

— To oni! to oni!

Natychmiast rozległa się komenda „pal.” Był to wystrzał, skierowany w mrok, na chybił trafił. Wybuch był ledwie dosłyszalny, gdyż zagłuszony został strasznym grzmotem i cały okręt drgnął, na podobieństwo drzewa, chwiejącego się pod silnym ciosem topora.

Olbrzymi słup wody stoczył się na schodki i prawie że w tejże chwili okręt nachylił się w tą stronę, gdzie otrzymał cios.

Torpeda japońska rozsadziła „Mackenzie,” aż do oddziału maszyn. Parowiec amerykański szybko zaczął napełniać się wodą, gdyż nie był zaopatrzony, na podobieństwo okrętów wojennych, w mnogie nieprzeniknione dla wody kamery, celem zapobieżenia szybkiemu zatonięciu okrętu.

Kiedy lejtnant Archibald Forster, po opadnięciu kolumny wodnej, szukać zaczął komendanta, tego już nie było. Olbrzymia fala zmyła go wraz z częścią mostku. Straszne zamieszanie panowało na okręcie w przeciągu kilku minut, jakie nieszczęsnemu parowcowi sędziem było utrzymać się na powierzchni fal. Marynarze na „Mackenzie,” wybierani bez różnicy, nie byli zupełnie przyzwyczajeni do dyscypliny, która na okrętach wojennych daje możność żądania od nich wypełniania rozkazów w chwilach najbardziej krytycznych.

Człowiek-ptak.



Biegali jak obłąkani, nie wypełniając rozkazów oficerów. Dwie łódki przewróciły się, zanim zdołały odpłynąć od okrętu. Trzecia łódka, którą kierowały niedoświadczone ręce, zawisła w powietrzu, wyrzucając w morze uciekających. Ciężki, gryzący dym zakrył swą złowieszczą oponą sceny, nie dające się opisać, rozgrywające się na pokładzie i wśród których „Mackenzie” zaczęła naraz szybko nachylać się i znikła w wirze piany. Wir ten poniósł okręt do przyrządu acetylenowego i huk rakiety zgłuszył przekleństwa i krzyki. Parowiec, zanurzając się w głębie, pociągnął za sobą i ogień, oświetlający tragiczny obraz i wszystko pogrążone zostało w mroku.

* * *

Po wybuchu Maurycy Rembeau spróbował pociągnąć za sobą lejtnanta Forstera.

Lecz oficer przecząco skinął głową.

— Komendant zginął, — rzekł: — i miejsce moje tu! Żegnajcie! Niech pan się ratuje, póki czas!...

Wyszedszy na pokład, inżynier obrzucił wzrokiem tłoczących się bezładnie marynarzy i kilku pasażerów, śpieszących do łodzi. Zaraz przyszło mu na myśl, że posiada, łódź przewyższającą znacznie wszystkie pozostałe, gdyż zrobioną z żelaznej blachy,

obitą drzewem korkowem, to jest niezwyklej lekkości i zarazem wypróbowanej trwałości. Okrywające ją płótno zapobieży zalaniu jej przez wodę w chwili naładowania, i łódź, jak krąg ratunkowy, wypłynie na powierzchnię wody.

Jednem cięciem topora Maurycy Rembeau przeciął wszystkie liny, któremi przy-mocowaną była do burty improwizowana szalupa jego, i zbadał, czy jakiekolwiek sznury nie łączą jej z pokładem. Czując z coraz bardziej zwiększającego się pochylenia pokładu, że fatalna chwila się zbliża, skierował się ku mostkowi.

Sir Archibald Fonster schodził z niego, nie śpiesząc się i wydając jakieś rozkazy.

W jednej chwili Maurycy Rembeau schwytał go za rękę i, pomimo oporu jego, pociągnął za sobą. Pokład uciekał im z pod nóg i młody francuz doszedł do swej łodzi, czepiając się balustrady.

— Archibaldzie, tu... czepiaj się z przeciwniejszej strony...

Więcej nie mógł już mówić: olbrzymia fala zmyła pokład, porywając go, jak słomkę i unosząc daleko łódź, za którą uchwycili się obydwa przyjaciele. Uderzeniami o kominy, wybuchami kotła, odrzuceni zostali daleko... Potem „Mackenzie” pogrążył się w odmętach

Oceanu Spokojnego, pociągając w niezwykłym wirze ostatnią szalupę, i ostatnich z pośród pozostałych przy życiu.

Nieprzebite ciemności, okrywające miejsce, gdzie urządzoną została zasadzka, pozabawiła żółtoliczych, patrzących z oddali na dzieło rąk swoich, możliwości być świadkami agonji załogi i cudownego ocalenia dwóch, pozostałych przy życiu ludzi.

II.

Improwizowana łódka.

Obydwaj rozbitecy schwytali za liny, zwieszające się z obydwóch stron ich improwizowanej łodzi. Przez kilka minut trzymali się tak wśród wiru, ulegając uderzeniom różnego rodzaju ułamków drzewa, żerdzi, sznurów, desek lub trupów...

Potem Maurycy Rembeau znalazł możliwość rozwiązania dwóch lin, przy pomocy których, płótno przywiązane było do burty łódki, i nie bez pewnej trudności wdrapał się do masywnej szalupy i pomógł swemu towarzyszowi dostać się tam.

Blizko bardzo dojrżeli wśród zmroku, to ukazujące się, to niknące wśród fal czarne figury... To rekiny krążyły w okóło, zwabione oczekującą je ucztą..

Zdrętwieli w swych mokrych sukniach, pomimo ciepła nocy podrównikowej, nie wyrzekli ani słowa. Torpedowce japońskie, pra-

wpodobnie znajdowały się w pobliżu i czekały bezwątpienia na świt, ażeby natychmiast skorzystać ze smutnych resztek po rozbiciu okrętu.

Księżyc ukazał się na widnokręgu, jasno odbijając się od grzbietu fal. Nowy snop światła, który ukazał się z tamtej strony, zaćmił go. Tym razem był to reflektor elektryczny, lecz okręt, na którym się znajdował, odpłynął daleko, tak że lejtnant Forster mógł wymiarkować, że łódź ich porwał jeden z mnogich prądów, przecinających Ocean Spokojny, i że szybko oddalała się ona od miejsca katastrofy.

W kilka minut potem, daleko na zachodzie, podniósł się nowy słup światła, potem dał się słyszeć grzmot, charakterystyczny dźwięk którego był im dobrze znany.

— Nadeszła kolej na „Bonawenturę,” — mruknął Archibald: Trzy bezbronne okręty, w czasie pokojowym... Ach, zbójcy... Powinniśmy mścić się na nich, za ich zbrodnię, dotąd, dopóki na kuli ziemskiej pozostanie przy życiu choć jeden amerykańczyk...

Noc wydawała się obydwom rozbitkom bez końca. Co im przyniesie budzący się dzień?

Czy zobaczą ich i zabiorą krążące wokół torpedowce, lub też może prąd poniesie ich

w te strony Oceanu Spokojnego, gdzie między wyspami Polinezji leżą olbrzymie pustynie morskie,—a gdzie skazani będą na niechybną śmierć z głodu i pragnienia.

O świcie zobaczyli skalistą wysepkę, wznoszącą się nad morzem na kilka metrów. Na ich szczęście, przyniósł ich tam prąd.

Archibald rzucił się do wody, kiedy łódź podpłynęła dość blisko do brzegu, przedostał się na wysepkę i z całej siły pociągnął za sznur, przymocowany do dzioba. Przyciągnąwszy łódź do brzegu, okrytego złomami skał, zobaczył naraz przed sobą szczelinę. W miejscu tem utworzyła się w skale jakby przystań, i w kilka minut potem łódź, wprowadzona do tej naturalnej zatoki, została wyciągniętą na drobny żwir, omywany zamierającymi tam falami. Tam była w zupełności zakryta przed wzrokiem ludzkim.

Gorąco podziękował sir Archibald Forster Maurycemu Rembeau za ocalenie życia, przyczem zaprzysięgli sobie trwałą i gorącą przyjaźń.

Dzień się budził. Przy jego świetle mogli się zająć rozpatrzeniem okolicy, i określeniem miejscowości, w jakiej się znajdowali.

Z widniejącego na wierzchołku skały sygnału, sir Archibald Forster przyszedł do wniosku, że znajdują się w pobliżu wyspy Medwey.

Wszedł na skałę i natychmiast z niej zeskoczył.

— Nie dalej, jak o milę ztąd,—rzekł,—widać torpedowiec japoński. Gdyby nas zobaczyli, nie puściliby nas z życiem, gdyż ważnem dla nich jest, by nie pozostał ani jeden świadek popełnionej przez nich zbrodni.

— Lecz, przecież, nie mogą liczyć na to, że zbrodnia ta ujawnioną nie zostanie?

— Tak, lecz przedtem, nim rząd Stanów Zjednoczonych dowie się o tem, położą swe łapy na wyspy Sandwich i spożytkują przeciwko nam te wszystkie fortyfikacje, które my wznieśliśmy z takim trudem w przeciągu dwóch—trzech lat..

— A czy fortyfikacje w Medwey skończone?—spytał Maurycy Rembeau.

— Zdaje się, że skończone. „Mackenzie“ dowoził tam ostatnie naboje do dział.

— I tylko mój biedny aerostat nie będzie przyjmować udziału w obronie, — rzekł smutnie młody francuz.

— Tak, powłoka jego spoczywa na dnie Oceanu i nigdy łódka pańska nie będzie unosić się w przestworzach. Zginie marnie tu, na tej skałe, po ocaleniu nas z rozbicia... A może i my zginiemy wraz z nią...

W oddali znów ukazał się torpedowiec japoński. Obydwaj przyjaciele położyli się na

brzuchach, obserwując bacznie kierunek jego biegu.

— To „Kazuma,“ — mruknął sir Archibald, — przyjmował udział w bitwie pod Cuszyma...

Za skalistego posterunku swego widzieli wyraźnie wszystko, co działo się na pokładzie statku japońskiego.

Oficer, stojąc przy wejściu do blockhauzu, tuż przy błyszczącym, niklowym reflektorze, patrzył przez lunetę na prawo, i amerykańnin, spojrzawszy w tym kierunku, ujrzał w oddali niewielkie wzniesienie nad wodą.

— Tam jest Medwey,—rzekł stanowczo.

A torpedowiec japoński przesuwiał się przed nimi.

— Ach, z jaką rozkoszą patrzyłbym na to, jakby jeden z naszych naboji przeciął go na połowę,—westchnął sir Archibald.

— Nie pragnij tego, — odrzekł mu francuz,—gdyż w takim razie załoga ratowałaby się na tą skałę, i z nami mogłoby być źle..

Torpedowiec przepłynął.

Obydwaj przyjaciele zsunęli się na brzeg, i rozmyślać poczęli nad tem, jakby wydostać się z tej pułapki.

Brakowało im wiosła, masztu i żagli, ażeby łodzią wymknąć się z niej. Tworzyli różne projekty i plany, lecz wszystkie one

okazywały się niewykonalnymi. Wreszcie sir Archibald Forster wpadł na myśl sprawdzenia zawartości łodzi.

Maszyna ze swemi ośmioma cylindrami zajmowała połowę całej łodzi. Dwie śruby, zdjęte i zawinięte w płótno, przymocowane były z boku, skrzynka z narzędziami, przymocowana z tyłu, służyła za siedzenie. Dwie kotwice, jedna morska, druga ze stopniami i hakami, mieściły się na przodzie z trzema związanymi linami. Na dnie łodzi lejtnant Forster zobaczył szereg naczyń, ustawionych na spodzie i obszytych złożonem w kilkoro płótnem.

Był to zapas oliwy i benzyny. I naraz błysnęła mu myśl:

— Dlaczego byśmy nie mieli skorzystać z maszyny, ażeby dostać się na tą wyspę?— zawołał.

— Maszyna zawsze może być puszczoną w ruch,—rzekł inżynier: lecz śruby...

— Więc co? wstawimy śruby,—prawdopodobnie jest to rzecz bardzo łatwa!

— Bardzo prosta. Potrzebata tylko kilka śrub. Lecz sposób ich ruchów oraz rozmieszczenie z lewej i prawej strony łodzi nie dadzą nam możliwości korzystania z nich.

— Dlaczegożby? Przecież to obojętne, czy będą one przecinać wodę czy powietrze,

powinny wywołać ruch, który my będziemy regulować, używając zamiast steru deski sygnałowej ztąd.

Pewność amerykanina była zaraźliwą. Śruby, wyjęte ze swoich futerałów, umocowane zostały na końcach swych osi. Dwa naczynia z benzyną opróżniono w rezerwuar i łódź spuszczone na wodę,—pozostawało tylko przekręcić rękojeść, ażeby puścić w ruch motor.

Zanim to zrobił, amerykanin nieufnie obejrzał się wokoło: torpedowiec znikł. Na południu oficer zauważył trzy okręty, płynące jeden za drugim. Znajdowały się jeszcze zbyt daleko dla tego, ażeby można było określić je ściśle. Bez wątpienia były to okręty japońskie, lecz znajdowały się one w odległości więcej niż ośmiu mil.

Można więc było bezpiecznie przystąpić do wypróbowania motoru.

Jedno przekręcenie rękojeści, puściło go w ruch, poczem inżynier włączył śruby.

Cały snop wody podniósł się z prawej i lewej strony. Nastąpiło straszne pchnięcie i Maurycy Rembeau ledwie zdążył rozłączyć śruby, gdyż inaczej łódź uderzyłaby o przeciwną skalistą ścianę.

— Motor jest zbyt silnym dla tak lekkiej łodzi,—rzekł,—80 koni dla tak wátłego

czołenka, to to samo, co zastosować do torpedowca maszynę pancernika.

— To nie! usuniemy to, rozłączając często śruby. Najważniejsze—osiągnąć ruch naprzód.

Przez pozostałą część dnia odpoczywali, śpiąc po parę godzin, pożywili się małżami oraz napili się wody, zebranej w zagłębieniu skalistym, uformowanem tuż obok sygnału hydrograficznego.

Gdy napełniali wodą jedno z naczyń, do uszu ich dobiegł głuchy huk wystrzału.

— To rozpoczyna się bombardowanie Medwey'u,—zauważył oficer.

— A teraz fort odpowiada, Achibaldzie.

I rzeczywiście, między wyspą a pancernikami japońskimi podniósł się do góry słup wody, a w kilka sekund potem do uszu ich dobiegł głuchy huk.

Lejtnant Forster wyjął zegarek i zaczął obliczać.

— Początkowa szybkość naszych naboí równa się 700 metrom przy wyjściu z lufy armatniej; dalsza ich szybkość nie przewyższa 300 metrów na sekundę, a zatem w odległości 5—6 mil dźwięk *) powinien dolecieć

*) Dźwięk przebiega w sekundę 333 metry.

do nas w 11 do 12 sekund po wystrzale. A zatem mamy do zrobienia tej nocy 6 mil.

A tymczasem walka na morzu wrzała. Forteca odpowiadała na strzały okrętów japońskich, przyczem były one tak skuteczne, że jeden z pancerników został poważnie uszkodzony. Dwa pozostałe, grzmiąc bez przerwy strzałami, zaczęły powoli cofać się, zasłaniając uszkodzonego towarzysza.

Skały Medwey co chwila zakwitały kłębami białego dymu.

— To nie pancerniki, a opancerzone krzyżowce,—zauważył amerykanin: to „Ibuki“ jeden z ostatnich typów, z turbinami, robiącymi 27 węzłów, tak jak angielskie Indomitables... Widocznie posłali oni tu swe najszybsze okręta, ażeby mogły z łatwością uciec przed naszą flotą, jeżeli napadnie na nich z tyłu... Lecz i tak połamią oni zęby na skałach Medwey..

— Czy uważasz ją za fortecę nie do zdobycia?—zapytał francuz.

— Uważam ją za taką dlatego, że do wodzi nią stary wojak, major Gezey, który raczej legnie martwy niż, podda ją..

Tymczasem krzyżowce, znajdujące się teraz po za linią strzałów, przerwały strzelaninę i oddaliły się na zachód.

Nadszedł wieczór. Skała Medwey zgi-

nęła wcoraz więcej rosnącym mroku. Łódka umieszczoną została przy wejściu do szczeliny skały, z kąda można było wyjść na otwarte morze. Okryta płótnem nieprzemakalnym, celem zabezpieczenia od zalania wodą, rozrzucałą przez śruby, z przymocowaną w tyle deską sygnałową zamiast steru.

Archibald Forster podjął się kierowania łodzią, a inżynier, pilnujący maszyny, miał być przygotowanym do rozłączenia śrub, zgodnie ze wskazówkami oficera.

Była godzina 11 w nocy, kiedy łódź odbiła od skały...

* * *

Jeżeli oficer amerykański wątpił w prawidłową działalność śrub w żywiole dla nich nie odpowiednim, to teraz mógł się uspokoić.

Działy one jak najprawidłowiej, tak że po przejechaniu mili Archibald Forster uspokoił się i był niewyczerpany w pochwałach pod adresem motoru i równości jego obrotów.

— Nie tracimy więcej jak godzinę czasu na przebycie tych 6 mil,—rzekł,—a obawiałem się, że będziemy musieli użyć na tą przeprawę połowę nocy.

Jedyną niewygodę stanowiły nieprzeniknione ciemności. Amerykański lejtnant ani na chwilę nie spuszczał oczu z błyszczącego kompasu kieszonkowego, wreszcie zawołał: „stop!“ Upłynęło półtorej godziny, gdy opuścili swą skałę: Medwey był już blisko.

Że zaś w forcie nie było żadnych ogní, trzeba było poczekać na ukazanie się księżyca, który wkrótce ukaże na horyzoncie sylwetkę fortecy. Całą godzinę jeszcze łódź aerostatu kołysała dwóch ludzi na falach. Nareszcie, około godziny drugiej w nocy, blade światło zwiastowało o wzejściu księżyca i trochę na lewo, w odległości mili, ukazała się czarna masa.

Skierowali się w jej stronę. Zamiast piaszczystego brzegu, którego szukali, ażeby wylądować—natknęli się na prostopadłą skałę i zmuszeni byli objechać wyspę, pogrążoną w mroku i ciszy.

— Prawdopodobnie pilnują, — mruknął amerykańnin—będą do nas strzelać!

I obawiając się tego, milczeli. Oddalili się, obawiając się hałasem motoru zwrócić na siebie uwagę wartowników, i po wielokrotnych, bezpłodnych wysiłkach, znaleźli się w niewielkim kanale, wykopanym widocznie rękoma ludzi, który, jakby szedł w głąb na

dwadzieścia metrów w tunel, przybierający w ciemności olbrzymie rozmiary. Łódka skierowała się tam, lecz bardzo prędko natknęła się na zagrodę, urządzoną na jednym poziomie z wodą.

— Dobrze,—mruknął amerykańnik—jeżeli nas złapią tu—będą do nas strzelać nie tylko z karabinów, ale i z mitraljezy. Prawdopodobnie tam na górze stoją dwie armaty, strzegące tego wyjścia.

Po kilku próbach wylądowania na brzeg, zmuszeni byli wyrzec się myśli wydostania się na pionową ścianę, otaczającą wejście do kanału i znów wypłynęli na morze.

— Teraz pewien jestem, że japończycy nie wylądują tu w nocy,—mruczał amerykańnik, starając się rozejrzeć szczelinę w tej niedostępnej skale.

Niespodziewanie na wierzchołkach skały ukazała się błyskawica. Biały pęk promieni padł na ścianę, rozsypał się mirjadem iskier po grzbiecie fal i po kilku wachaniach, skierował się ku wejściu do kanału, dopiero co opuszczonemu przez łódkę.

— Czas!—rzekł inżynier—jeszcze chwila, a będziemy zasypani kartaczami.

— Prędej!—przerwał amerykańnik—łącz! Śruby przecięły wodę i łódka ze straszną

siłą uderzyła o skalistą ścianę, wznoszącą się przed nią. Drzewo korkowe wytrzymało uderzenie, i siedzący w łodzi znaleźli się po za linią wystrzałów z fortecy, pod obroną samych skał.

W przeciągu dwudziestu minut elektryczne światło reflektorów przeszukiwało brzeg, poruszając się nad ich głowami. Przytulili się w tym martwym kącie, gdzie ukrywała ich skała, nie wyrzekłszy ani słowa, i oczekując końca tych długotrwałych poszukiwań.

Nie porzucając ukrywającego ich złomu, korzystając z nierówności skały i improwizowanego wiosła, lejtnant z „Mackenzie“ płynął wzdłuż zakrętów wyspy.

Oplłynęli ją, prawie że wokoło, kiedy nareszcie, około czwartej godziny rano, zobaczyli niewielki placyk piaszczysty, przypuszczalnie 20 metrów powierzchni, otoczony koralami.

Byli ocaleni.

Wyskoczyć z wody i wyciągnąć łódkę na brzeg było dla nich dziełem jednej minuty. Lecz gdy tylko wciągnęli ją na mały placyk brzegu, rozległ się grzmot wystrzału i pocisk przeciął cień, padający od wysokiej ściany.

Jednocześnie do uszu przyjaciół dobiegł stuk padającego do wody ciała, i ledwie zdążyli wyciągnąć się za pierwszemi szeregiemi koralu, dlatego, ażeby ukryć się przed kulami, latającemi jak wściekłe muchy, w powietrzu nad ich głowami...

III.

W fortecy Medwey.

Wystrzały stały się częstszemi i młodzi ludzie słyszeli, w przeciągu dwóch zdaje się bez końca minut, jak kule padały po za nimi w wodę...

Byłoby wielką nieroztropnością pokazywać się, krzyczeć lub spróbować jakimkolwiek gestem dać spostrzedz siebie, podczas gdy mitraljeza nieubłaganie sypała kartaczami z niewidzialnej strzelnicy.

Lepiej oczekiwać świtu.

Czas ciągnął się bardzo wolno.

Kiedy obydwaj przyjaciele mogli, nakoniec, rozróżnić pionowe ściany fortecy i ozdobiające ją okrągłe baszty, oddalony huk dał im poznać, że okręty japońskie również oczekiwały na wschód słońca, ażeby wznowić wczorajsze bombardowanie.

Trzy pociski ze świstem przebiegły nad ich głowami; czwarty trafił w skałę na pozio-

mie wody, nie dalej, jak o pięćdziesiąt metrów od nich i przejął ich lękiem.

— Prędej! chodź za mną...

I Maurycy Rembeau poczuł, jak towarzysz ciągnie go w wodę i posłyszał jego rozkaz:

— Przedtem, nim dym ten dojdzie do nas—nabierz w płuca powietrza i daj nurka pod wodę...

Inżynier francuzki wiedział, z opowiadań o bitwie pod Cuszymą, że pociski japońskie wydzielają kwas tlenu. Lecz nie wiedział o tem, że naród ten, od czasu swych zwycięstw poświęciwszy się wojnie, wynalazł nową substancję wybuchową, przewyższającą znacznie szimozę. Zaczęli używać naboje wielkiej objętości, trujące gazy których zabijają znacznie większą ilość ludzi w pobliżu, niż ich wybuchy.

W czasie przyszłych bitw morskich, kilka pocisków takiego typu, przedostawszy się do głębin okrętu, wyprowadzą go z linii bojowej, i śmierć od nich pewniejszą będzie, niż od najszybciej strzelającego działa.

Maurycy Rembeau poszedł za radą swego przyjaciela: kiedy błękitnawa chmurka zbliżyła się do nich, tocząc się gorejącą falą po wodzie, obydwie głowy znikły i, dla większego bezpieczeństwa, Archibald Forster, wie-

dząc, że jego przyjaciel jest znakomitym pływakiem, pociągnął go na otwarte morze, ażeby nabrać powietrza.

Kiedy znów podpłynęli do brzegu, tym razem trochę dalej, na szczycie skały, okrytej

wodorostami, ukazała się głowa, z przyłożonym do policzka karabinem.

— Stany Zjednoczone!—zawołał lejtnant.

Karabin opuścił się i wśród odłamków skały ukazały się jeszcze dwie głowy w szerokoskrzydłych kapeluszach żołnierzy amerykańskich.

Był to patrol, wysłany z fortu dla pościgu za tajemniczym cieniem, przybyły akurat w porę, ażeby zabrać rozbitków.

Żołnierze, stanowiący patrol, spieszyli się bardzo, chcąc ujść nowego pocisku japońskiego, i dlatego jaknajprędzej podążyli w stronę fortecy wąską, wykutą w skale ścieżką.

Stanęli wreszcie przy wejściu do fortecy. Ażeby zabezpieczyć wrota od bezpośredniego działania pocisków armatnich, tunel zmienił kierunek i, na zakręcie, niewidzialna zzewnątrz lampa elektryczna odbijała się na szynach wązkotorowej kolejki, umocowanych w betonie.

Ochrypli głos wartownika rozległ się pod sklepieniem i jeden z patrolu odpowiedział:

— Stany Zjednoczone!—słowa, które lejtnant Forster tak w porę rzucił przed kilku minutami.

Żołnierz wysunął się z głębi budki i wysunął karabin naprzód.

Zamienili półgłosem hasło i odzew, jeden z wartowników coś krzyknął i podziemie oświetliło się.

Jednocześnie zaczęły powoli opuszczać się masywne, z dwoma strzelnicami, wrota, wrobione w przeciwległą ścianę. Znajdujące

się na nich szyny, były przedłużeniem linii, ułożonej na betonie.

Weszli do fortecy Medwey.

Gdy tylko konwój ich przeszedł most, ten ostatni podniósł się i w tejże chwili do uszu ich dobiegł odgłos nowego wybuchu, lecz zagłuszony, prawie oddalony.

Poculi się za temi ścianami z granitu bezpieczniejszymi, aniżeli na pokładzie najsilniejszego pancernika.

Cała forteca sprawiała wrażenie, jakby wrosła w te skały podwodne Oceanu Spokojnego. Pociski japońskie rozbijają się o te wały skaliste i huk wybuchu nie dobiegnie nawet do wnętrza fortecy.

Pokój, gdzie wprowadzono Maurycego Rembeau i Archibalda Forstera był obszerną, niską salą, oświetloną lampą łukową, jasne światło, której oświetlało każdy zakątek.

Siedziało w niej z piętnastu ludzi w mundurach koloru khaki, otaczających mitralję, postawioną na żelaznej ramie, wprawionej w skałę.

Wszedł oficer—wysoki, wygolony, z potężnymi mięśniami i przy wejściu jego ani jeden z żołnierzy się nie poruszył, gdyż w armji amerykańskiej oddawanie honorów w czasie wojennym uznane jest za zbyt cenne.

Przedstawił się—Harry Spark, 3 pułk ko-

lonjalny. Kiedy obydwaj rozbitcy przedstawili mu się, oznajmił im, że komendant twierdzy, powątpiewający, ażeby oni rzeczywiście pozostali przy życiu po katastrofie ostatniej nocy, czeka na nich u siebie.

— Jesteśmy gotowi, — rzekł Archibald Forster.

Po drodze oficer amerykański rozpytywał ich, zapisując odpowiedzi celem przedstawienia ich komendantowi.

Przez sklepione galerje, wzdłuż szyn, po których mogły posuwać się najcięższe działa, dostali się do obszernej, okrągłej sali, gdzie dwie lampy łukowe rzucały oślepiające światło na prawdziwą fabrykę w miniaturze. Tu był koncentrowany cały dział mechaniczny i oświetlenie całej fortecy: dynamo maszyny poruszały się z szybkością, powodującą zawrót głowy; motory gazowe obracały się bez szmeru, windy hydrauliczne z łatwością podnosiły na szczyt skały ciężkie wieżycy i ich olbrzymie działa. Tu stały przeróżne warsztaty, maszyny wszelkich możebnych typów, aparaty do naładowywania metalowych, karabinowych i działowych naboji.

Forteca przemieniła się w fabrykę, gdzie fizyka, chemia i mechanika stworzyły najbardziej udoskonalone sposoby burzenia i obrony.

Ze dwudziestu ludzi stało przy warszta-

tach i maszynach, wśród pasów transmisyjnych i mnóstwa izolowanych przewodników, które przesyłały we wszystkie zakątki Medwey'u siłę i światło.

Oficer, towarzyszący obydwom rozbitkom, odsunął drzwi żelazne, wszedł w korytarz i naraz, na skrzyżowaniu się galerji, znikł, salutując przed jakąś grupą, która ukazała się z ciemności.

Czterech ludzi niosło na noszach rannego, z okrytą krwią twarzą, a za niemi szła młoda, wysoka i zgrabna dziewczyna, z piękną, bladą twarzą, otoczoną jasnymi włosami. Zmarszczka na czole nadawała jej twarzy wyraz smutku. Ubrana bardzo skromnie, cała w bieli, a na jej małym fartuszkusiostry miłosierdzia, odcinał się miniaturowy krzyż czerwony. Z białą wstążką we włosach, mających złoty odcień przy świetle elektrycznem, sprawiała wrażenie jakiegoś bajecznego zjawiska.

Odpowiedziała lekkim ukłonem na powitanie trzech mężczyzn.

— To miss Katti Gezey, córka komendanta, — poważnie odrzekł lejtnant Spark na ich nieme zapytanie: Ojciec jej — jest duszą fortecy, a ona duszą swego ojca! Patrzymy na nią, jak na gwiazkę, która spadła z nieba wśród naszego mroku, i niema ani jednego człowieka w garnizonie, któryby nie obawiał się nie-

bezpieczeństwa bombardowania dla niej, a nie dla siebie.

— Jak mógł wasz komendant skazać swą córkę na takie zamknięcie?—spytał z ożywieniem Maurycy Rembeau.

— Major Gezey owdowiał przed kilku miesiącami nie ma nikogo, prócz córki. Pani Gezey umarła w czasie, gdy mąż jej mianowany został komendantem tej wyspy. Nie mógł się zrzec tego, tak odpowiedzialnego stanowiska, a córka jego nie chciała pozostać w San-Francisko samą. I zabrał ją tu. Oprócz tego, jak wam zapewno wiadomo, klimat wysp Sandwich, robi z nich stację klimatyczną, gdzie podąża cała arystokracja pieniężna Kalifornji. I zresztą, czyż mógł major Gezey przypuszczać, że wiezie córkę pod te piekielne wystrzały, któremi zasypują nas teraz ci przekleci japończycy. A teraz, panowie, bądźcie łaskawi iść za mną! Nie należy zmuszać komendanta do oczekiwania na nas.

Po kilku krokach zatrzymał się przed drzwiami, podniósł i opuścił ciężki, brązowy młotek.

— Proszę wejść!—dał się słyszeć surowy głos.

Pośrodku kazamaty, do której lejtnant Spark wprowadził obydwóch młodych ludzi, stał plecami do drzwi człowiek wysokiego

wzrostu, patrzący przez wąską strzelnicę, ciężką, żelazną okiennicę której przytrzymał ręką.

Gdy zamknąwszy okiennicę, odwrócił się, przy świetle lamp elektrycznych ukazało się mnóstwo zmarszczek na czole jego, zapadłe policzki i starannie przygładzone włosy, przypruszone siwizną. Ostre i dumnie do góry podkręcone wąsy odcinały się białą plamą od rumianej, energicznej twarzy, oświetlonej parą takich samych błękitnych oczu, jak i te, które dopiero co rozjaśniły ciemność galerji.

Lejtnant Spark doręczył mu kartkę z notatnika, na której spiesźnie robił notatki, odnoszące się do osobistości rozbitków z „Mackenzie.”

Major Gezey przyglądał się im przez kilka chwil, rzucił spojrzenie na doręczony mu papier i zaraz podszedł do nich, podając im rękę, z gorącem i szczerze przyjaznem zadowoleniem.

— Witajcie, panowie, w takiej chwili,—rzekł.—Pan, lejtnancie, szczerze i głęboko żałuje swego statku, a pan, szanowny panie, jako należący do zaprzyjaźnionego z nami narodu, wiozłeś nam maszynę, która przypominałaby nam wszystkim, że ojczyzna twoja stoi na czele najśmielszych wynalazków. Przypuszczałem, że nikt nie ocalał z „Mackenzie,”

o tragicznym końcu którego domyśliliśmy się z daleka, zeszłej nocy, gdyż inaczej posłalibyśmy wam na spotkanie łódź z motorem naftowym, to jest jedyną łódź, jaką rozporządzamy. Oh, ci japończycy, to straszni rozbójnicy! A przecież, ażeby wpoić w nas brak zaufania, mieliśmy przed sobą przykład wojny Mandżurskiej, oblężenie Portu-Artura, lecz wszystko to nie otworzyło nam oczu. Na szczęście jam tu nigdy nie dowierzał.

Nachyleniem swego wielkiego, suchego i kościstego ciała, przypominajacem stare, ceremonialne ukłony, komendant zaprosił gości, by usiedli i opowiedzieli mu szczegóły zatopienia parowca i wszystkie przygody ich ocalenia.

Kiedy dowiedział się wszystkich szczegółów, zawołał:

— To straszne! To początek bezlitośnej wojny i my ją podtrzymamy, przekonani o swej słuszności i szczególnie o swej potędze, gdyż w obecnych czasach nie istnieją dla narodów jakiegobądź inne prawa, oprócz siły.

Opowiedział młodym ludziom, że w noc, poprzedzającą zgubę „Mackenzie” wytrzymał wściekły atak japończyków, którzy mogli wyładować w ciemności zupełnie niedostrzeżenie. Lecz, na jego szczęście, niespodziewane przecięcie kabli telegraficznych, zepsucie się apa-

ratów telegrafu elektrycznego i bez drutu, razem z innemi obserwacjami, dokonanemi poprzednich dni, jak to: okręty, przemyskające tam i z powrotem na otwartym morzu, torpedowce, podchodzące do wyspy bez zapalenia ustanowionych ogni, zmusiły go do podwojenia czujności.

— Daliśmy kilka salw z mitraljez,—mówił dalej, — przy wejściu na most zwodzony i szczególnie silną strzelaninę wszczęliśmy w chwili, gdy atakujący cofali się na okręty. Prawdopodobnie stracili około pięćdziesięciu ludzi, lecz ja nie miałem możności określić tego ściśle, gdyż oni zabrali swych rannych i zabitych. Następnego dnia mogliśmy określić, że próba ich wylądowania odbyła bez powodzenia, po porzuconej przez nich broni i licznych śladach krwi, które okazały się na skale.

— A bombardowanie?

— Bombardowanie rozpoczęło się dopiero wczoraj, kiedy wy, panowie, je zauważyliście. Jeżeli by zaczęli je wcześniej, to uprzedziliby „Mackenzie” o grożącym niebezpieczeństwie i wy moglibyście, zawróciwszy, uprzedzić o tem Honolulu.

— Pan przypuszcza, że Honolulu nie dostało się w ich ręce?

— Wszystko możebne,—rzekł major Gezey,—nasza flota daleko... W przeciagu całego

roku, co tydzień do Honolulu przybywały okręte, obładowane japończykami. I wszyscy ci emigranci ułatwili prawdopodobnie swojej flocie jej zadanie. Tu nie ma żadnej wiadomości—jestem odcięty od świata.

— Ach! — zawołał Maurycy Rembeau,—żebym miał tu swój aerostat!...

— Ma pan rację, drogi inżynierze, i przyznaję, że oczekiwaliśmy na niego z niecierpliwością, lecz więcej dlatego, ażeby rozerwać się wzlotami, niż dla wyciągnięcia pożytku z militarnego punktu widzenia. Czyż pan, rzeczywiście, wierzy, że maszyna osiągnęła taką doskonałość, ażeby mogła dokonywać tak dalekie kursa? Wiadomo panu, że ztąd do Honolulu odległość w prostej linii wynosi 1400 mil i około 2000 mil z Honolulu do San-Francisko?

— Mój aerostat robił podczas prób do 70 kilometrów na godzinę. Utrzymywał się przez całe dwa dni w powietrzu, dzięki nieprzeniknionej powłoce, wynalezionej przez naszą szkołę aerostatyczną w Meudon. Jeżelibyśmy wzięli z sobą ścieśnione powietrze, to mogliby jeszcze dłużej przetrzymać się: do Honolulu dotarłbym w przeciągu trzydziestu godzin przy tak pięknej pogodzie, jaka tu panuje obecnie.

Na twarzy majora ukazał się wyraz zdumienia.

— Wierzę panu,—rzekł.—Na nieszczęście wszystko to nic więcej, jak marzenia, gdyż aerostat leży na dnie morza razem z „Mackenzie,” i droga powietrzna zamknięta dla nas, jak i wszystkie inne drogi. Wprost cudem jest to, że panom się udało...

Zamilkł i, wstawszy, podszedł do młodych ludzi. Obmacawszy ubranie sir Archibalda Forstera, podszedł do guzika dzwonka elektrycznego i nacisnął go.

— Ja tu mówię, zmuszam was do opowiadania swych przygód, nie pomyślawszy na chwilę, żeście przemogli, że znużeni jesteście, aż do wyczerpania. Darujcie mi...

A gdy w drzwiach stanął ordynans, spytał:

— Tom, miss w domu?

— Tak jest. Rannemu lepiej i miss jest w swoim pokoju.

Major nacisnął inny guzik, i w kilka chwil w rogu kazamaty uniosła się portjera i ukazała się blada, dobra twarzyczka, miss Katty Gezey, pytając patrzącej na ojca.

Na znak jego, weszła do kazamaty.

— Dziecko moje, przedstawiam ci dwóch zuchów, którym udało się uratować zeszłej nocy po strasznem rozbiciu okrętu, i wylą-

dować tu, bez narażenia się ani na jeden strzał. Trzeba przygotować śniadanie dla nich, jak można najprędzej, gdyż umierają z głodu!

— Odgadłam twe życzenie, ojcze, śniadanie gotowe.

Znów rozpoczęło się bombardowanie.

Major Gezey śpiesznie otworzył ciężką, żelazną okiennicę i zaczął wpatrywać się w przestrzeń.

— Okrążają nas z drugiej strony, spodziewając się znaleźć tam łatwiejszy dostęp. Stracą cały zapas prochu i ładunków, i nie nam nie zrobią... Przy wystarczającej ilości zapasów spożywczych i wody, można tu trzymać się miesiące całe; ja zaś będę trzymać się lata cało, jeżeli zajdzie tego potrzeba.

Zamknął strzelnicę i wrócił do swoich gości.

— Katty czeka na was, panowie,—rzekł, wskazując na portjerę, za którą bez szmeru, zniknęła młoda dziewczyna.

— Możecie jeść śniadanie pod gradem pocisków tak samo spokojnie, jak wielki król w salonach Wersalu...

Wielki król! Wersal! To były wspomnienia, wskrzeszone dlatego, ażeby mile podrażnić słuch Francuza.

Co zaś do lejtnanta Forstera, mimowol-

nie drżącego z zimna w swem przemoczonym ubraniu, to ten zdecydował, że kazamaty w Medwey są bardzo wilgotne i przełożył by nad to śniadanie suchą odzież i płonący komin.

IV.

Wspólna ojczyzna.

Młoda dziewczyna pierwsza zwróciła uwagę na drżącego z zimna lejtnanta amerykańskiego i rzekła, że gościom jej, przedewszystkiem, należy zmienić ubranie.

Major, przepraszając, polecił lejtnantowi Spark wynaleźć dla nich w składach fortecy odpowiednią odzież.

W pół godziny potem nasi przyjaciele ukazali się w mundurach żołnierzy wielkiej rzeczypospolitej.

Ten strój improwizowany był im bardzo do twarzy i już szykowali się podziękować komendantowi za niego, gdy wszedłszy do kazermy, gdzie przygotowane było śniadanie— stanęli zdumieni przy progu.

Liczyli, że znajdą naprędce nakryty stół, szczerbę i śpiesznie przyrządzone śniadanie, jak to się dzieje w obozie.

Lecz oczom ich przedstawił się wspa-

niale nakryty stół, zastawiony wspaniałym serwisem i wykwintnymi potrawami. Na obśzytej koronką wenecką, haftowanej serwecie, rozłożone były stare srebra z monogramami.

Spojrzenie gości wyrażało nieukrywany zachwyt na ten widok, zwłaszcza mnogich żywych kwiatów, ozdabiających stół.

Na miłej rozmowie upływał czas przy stole, wreszcie major Gezey wstał i podnosząc do góry kielich, rzekł poważnym głosem, w którym słychać było wzruszenie:

— Panie Rembeau, piję za naszą wspólną ojczyznę, za szlachetną, prześliczną Francję, bogatą w swych dążeniach, działalności i nadziejach.

Potem zwrócił się do lejtnanta:

— Teraz, mój drogi gościu, piję za moją drugą, wybraną przezemnie ojczyznę, za wielką i przepiękną Amerykę, gdzie przodkowie moi przed dwoma wiekami, zawarli związki rodzinne z waszymi.

Ledwie tylko stary oficer usiadł, Maurycy spytał bardzo szybko, z płonącymi oczyma:

— Rodak? A więc, panie majorze, miss Katty jest francuzką z pochodzenia.

Tymczasem major w dalszym ciągu objaśniał, że przodek jego po mieczu, Klaudjusz Gezey, walczył obok Lafayetta podczas pamiętnej wojny o niepodległość. Przyjaźnił się

z nim, lecz podczas gdy generał wrócił do Francji, przodek jego pozostał na zawsze w Ameryce. I od czasu tego nazwisko Gezey'ów widniało na pierwszym miejscu w czasie wszystkich wojen, jakie toczyły Stany Zjednoczone.

— Jeden z braci moich, — ciągnął dalej major, — dowodzi w obecnym czasie opancerzonym krzyżowcem „Kolorado“, i być może, w czasie rozpocząć mającej się obecnie wojny, okręt ten — jeden z najpiękniejszych w naszej flocie, — krążyć będzie na wodach Medwey'u. Daj Boże!

Wszczęli potem ożywioną rozmowę o pięknej, starej Francji, której gorącą miłośniczką okazała się miss Katty, gdy naraz rozległo się ostre, nerwowe i niecierpliwe stukanie do drzwi.

Nie czekając odpowiedzi, stukający wszedł do kazamaty.

Był to człowiek olbrzymiego wzrostu, z wyrazem zmęczenia na twarzy, przypominający średniowiecznych rycerzy. Miał przy sobie szpadę, rewolwer na sznurze i na głowie kapelus, którego nie zdążył zdjąć.

— Panie komendancie! — rzekł.

Lecz major Gezey wstał i z wyszukaną grzecznością rzekł:

— Panowie, pozwólcie przedstawić sobie mego starszego oficera, kapitana Brodway.

— Panie komendancie, — zaczął znów przybyły, — daruj mi moje niespodziewane wtargnięcie. I pani, miss Gezey, również...

Nie mógł mówić z silnego wzburzenia.

— Pan przywiózł złe wieści, Brodway? Nasze wieże, prawdopodobnie...

— Bardzo złe wieści! Lecz rzecz idzie nie o wieże... Zbiorniki z wodą są puste...

— Jakim sposobem... mów pan...

— Opróżnione tej nocy, komendancie... To, bezwątpienia, nowy cios ze strony tych przeklętych japończyków... I zupełnie niezrozumiałem jest dla mnie, jakim sposobem ją wypuszczono... Wchodziłem do wody, szukałem... Po straceniu nadziei znalezienia powodu — przyszedłem uprzedzić pana.

I rzeczywiście, nogi oficera były przemoczone, aż do samych kolan, i z rękawów ciekła woda na posadzkę.

Twarz majora zaczerwieniła się i wybiegł z pokoju, a w ślad za nim poszedł lejtnant Forster i Maurycy Rembeau.

Przeszedłszy dwa korytarze, położone pod prostym kątem, spuścił się za nimi schodami, wyrąbanymi w skałę, z żelazną poręczą, wmurowaną w ścianę granitową, i oświetlonymi gdzie nie gdzie lampkami.

Ostatni korytarz otwierał się u podnóża schodów, i kończył się masywnymi i niskimi drzwiami, pod szerokim sklepieniem. Dwa wielkie, równoległe położone baseny, od 8 do 10 metrów długości i od 3 do 4 metrów szerokości, ciągnęły się pod tem obszernem sklepieniem.

Gładki i jeszcze wilgotny beton, okrywający baseny, był co pewną przestrzeń przecięty filtrującymi kratami, przez które powinna była przechodzić woda, zebrana na powierzchni wyspy, przy pomocy sztucznej kanalizacji.

Jeden z basenów był zupełnie pusty, w drugim była jeszcze pewna ilość wody, tymczasem gdy w basenie zwykle znajdowało się wody na 3 metry.

— Lecz gdzież uchodzi woda! — zawołał major, drżącym ze wzruszenia głosem.

Maurycy Rembeau szybko obejrzał pusty basen: w jednym z kątów zauważył wpuszczoną w beton białą rączkę, która kolorem i okrywającą ją warstwą, niczem nie różniła się od betonu. W jednej chwili młody człowiek wskoczył do drugiego basenu, z którego powoli ubywała woda.

Nachylił się, namacał, zanurzył rękę w wodę, i po chwili wyprostował się i rzekł:

— Przerwałem wpływ wody!

— Jakim sposobem? Gdzie?

I głos majora Gezey'a stawał się coraz bardziej zdławionym.

— Archibaldzie, proszę cię, daj mi rękę, pomóż ztąd wyjść...

Lecz kapitan Brodway już wyciągał rękę i silnym ruchem wyciągnął młodego człowieka, bez widocznego wysiłku, z improwizowanej kąpieli.

Cały mokry, Maurycy Rembeau podprowadził wszystkich obecnych w kąt pustego basenu, gdzie znalazł kran.

— Inżynier, budujący te baseny, — rzekł — umyślnie urządził w każdym z nich wielki otwór, który można otworzyć przy pomocy kranu. Patrzcie, okryty jest białą emalją; mo siężny, byłby zbyt widocznym.

— Wszakżeż to budował japoński inżynier! Lecz któż mógł przekręcić kran i otworzyć ujście dla wody? — spytał major.

Nikt nie odpowiadał na to pytanie, lecz odpowiedź była u wszystkich na ustach: tylko zdrajca, szpieg, japończyk, znaczy się dokończył dzieła, rozpoczętego przez budowniczego.

— Łotr, który dokonał tego, zmuszony był zanurzyć się w wodę trzech metrowej głębokości, — zauważył kapitan Brodway. — Dowód ten może posłużyć za podstawę do badań i pomoże odszukać winowajcę.

Lecz lejtnant Forster, podeszedłszy do kąta basenu, do którego tylko co wlał jego przyjaciel, pokazał leżący na dnie długi pręt żelazny, przedstawiający na jednym końcu klucz, a na drugim zakończony krzyżem.

— Łotr nie miał potrzeby włożyć w wodę, — rzekł — oto klucz, z którego korzystał dla tego, ażeby otworzyć rury. Potem pozbył się tego, rzucając go tu... Wszystko przewidziane było zawczasu.

Major Gerey był zdumiony. Spytał raz jeszcze:

— Czy pan pewien, żeś powstrzymał upływ?

Na to pytanie odpowiadano milczeniem. Trzeba było kilka minut obserwacji, ażeby przekonać się o niezmienności poziomu wody.

Kiedy to skonstatowano, komendant polecił zmierzyć ilość wody, pozostałej w basenie...

Maurycy Rembeau dokonał wyliczeń i pomiarów, i okazało się, że pozostało wody 14,500 litrów, to jest, że wystarczy ona na 23 dni dla garnizonu ze 140 ludzi.⁷

Te fatalne słowa rozległy się wśród grobowego milczenia, które naruszył Brodway, mówiąc:

— Nam nie wystarczy wody i na 23 dni. Niektóre maszyny nie znoszą wody morskiej;

acetylenowe generatory i inne, wymagają wody słodkiej. 14,500 litrów wystarczy ledwie na dwa tygodnie.

— Zmniejszamy codzienne użycie wody, — rzekł major, — musimy trzymać się, aż do czasu przyścia naszej floty.

— Nasza flota nie przyjdzie tu za dwa tygodnie, ani nawet za dwadzieścia lub dwadzieścia pięć dni. Wszelka komunikacja z lądem stałym odcięta, i nie rozumiem, jakim sposobem może ona przyjść na pomoc Medwey'owi w tak krótkim czasie.

Były to słowa lejtnanta Forstera, że zaś nikt poważnie zaprzeczyć im nie mógł, za panowało głębokie milczenie.

Przyszedł lejtnant Spark, również bardzo wzburzony.

— Panie komendancie, — rzekł on, — jestem pewien, że to sprawa rąk tego łotra Narwana...

— Narwana? kucharza?

— Tak! On, ze względu na rodzaj służby, miał dostęp do basenu i już w samym początku badań dowiedziałem się, iż brał kilkakrotnie, między innymi i wczoraj — klucz od drzwi żelaznych, pod pretekstem obejrzenia rury wodociągowej, idącej od rezerwuarów do jego kuchni.

— Jest jeszcze jeden dowód, — rzekł ka-

pitan Brodway;—to jego bliskie stosunki z telegrafistą, który znikł w przeddzień pierwszego bombardowania.

— Włożyć na Narwoń kajdany i natychmiast zrewidować jego rzeczy, — rzekł major, — jeżeli przestępstwo zostanie mu doowiedzianem, powinien zostać zaraz rozstrzelanym.

— Narwon znikł tej nocy, panie kominde, — rzekł lejtnant Spark, — pomocnik jego, z którym dopiero co rozmawiałem, nie widział go od wczoraj i zupełnie nie wie, gdzie mógł się on podziąć...

— I zdaje się, że go nie znajdziecie, — wtrącił Forster, — zeszłej nocy, kiedy z Maurycem oczekiwaliśmy z niecierpliwością wschodu słońca, usłyszeliśmy charakterystyczny stuk wpadającego do wody ciała. Był to prawdopodobnie wasz Narwon, wiedzący z pewnych oznak, że w pobliżu znajduje się japoński torpedowiec lub łódź, a do których liczył, że wpław się dostanie...

— Znaczą się otoczeni jesteście prawdziwą siecią zdrajców?—zawołał major z wybuchem rozdrażnienia.

— Tak, wszędzie zdrada, panie kominde, — rzekł kapitan Brodway, — u japończyków to najbardziej ulubiony środek i najniebezpieczniejszy dla nas.

— W ten sposób pewnego pięknego dnia możemy być świadkami, jak przestaną działać nasze wieże, armaty nie będą strzelać i elektryczność nasza zgaśnie.

Stary oficer nerwowo przesunął ręką po siwych włosach, postąpił kilka kroków i zatrzymał się ze skrzyżowanymi rękoma.

— Panowie! — rzekł, — nasze położenie w przeciągu kilku minut stało się znacznie poważniejszym, niż wczoraj. Koniecznem jest, ażeby odbiło się to na dyscyplinie. Wojska amerykańskie odznaczały się dotychczas, w stosunku do europejskich, pewnem niedbalstwem w stosunku do służby, zbytnią familjarnością między oficerami a żołnierzami, i wielką obojętnością co do mustry i akuracności. Zgodzicie się ze mną, że ten kierunek koniecznie zmienić należy. Niewystarczy mówić, że „przy odwadze i zapasach można trzymać się pod ochroną wału fortecznego bez końca“ — potrzebny jest jeszcze ścisły nadzór, konieczne szczegółowe sprawozdania o każdym wypadku, potrzebna absolutna subordynacja podług rang... Będę żądać tego od wszystkich, poczynając od dnia dzisiejszego.

Potem, podszedłszy znów do rezerwuaru, rzekł:

— Na dwa tygodnie wody! Pomyślcie

panowie, że za dwa tygodnie będę zmuszony poddać Medwey.

Przypuszczenie to wydało mu się tak nieprawdopodobnem, że roześmiał się tym śmiechem, pod maską którego ludzie silni często ukrywają łzy.

Podszedł do Maurycyego Rembeau, położył mu rękę na ramieniu i, jakby biorąc go na świadka, rzekł, kładąc nacisk na każde słowo:

— W dziejach naszych, drogi rodaku, wyróżnia się pewna szlachetna osobistość—to Bayard, rycerz wierny swemu obowiązkowi i królowi. Chcę, jak i on, być bez lęku i, przedewszystkiem, bez zarzutu. I gdy losowi spodobało się zarzucić mnie tu, na tą przednią linję naszych wysp, to będę bronić do ostatniej kropli krwi fortyfikacji, powierzonych mi przez los i naród amerykański. Zanim poddam Medwey, armaty, węgiel i mój honor na dodatek — spalę węgiel i wysadzę w powietrze wszystko pozostałe. Lecz jakie pan ma zamiary? Pan należy do państwa, pozostającego neutralnem w czasie tej wojny. Dlatego też ma pan prawo być neutralnym i tu. Jaką rolę decyduje się pan grać u nas?

— Pewien jestem, że odpowiedź moja znana jest panu naprzód,— rzekł młody człowiek, ściskając mocno wyciągniętą do niego rękę,—nie pozwolę sobie stać bardzo blisko

pana, gdyż byłoby to zuchwalstwem, lecz chcę być zawsze obok pana, zupełnie tak jak pradziad pański znajdował się blisko Washingtona.

— Wiedziałem o tem, drogi rodaku. Dowiedziemy, że ojcowie nasi przekazali nam pewne zalety wojenne, a między niemi uczucie honoru, dochodzące do samoofiarowania się. Posiadamy do 300,000 funtów prochu w dwóch składach: to więcej, niż potrzeba do zniszczenia całego miasta. Czy nie zgodzi się pan ulokować w odpowiednich miejscach i połączyć z sobą miny, które wzniosą Medwey do państwa gwiazd? Proszę tylko o honor zapalenia ich.

I kiedy młody człowiek nic nie odpowiadał, ciągnął dalej:

— Być może, podejmie się pan zniszczyć węgiel? To bardzo ważne, ważniejsze od wszystkiego. Pozostawić do rozporządzenia japończyków olbrzymią ilość węgla, zebranego tu przez naszą administrację pod osłoną naszych armat—to znaczy dać ich flocie możność spalania San-Francisco.

Maurycy Rembeau stracił całą swą pewnością, podpowiadającą mu pierwszą odpowiedź majorowi Gezye. Oczy jego unikały wzroku majora, czującego, jak w rękę jego drży lekko ręka młodzieńca.

— Więc cóż, panie Rembeau?

— Panie komendancie,—mruknął młody człowiek,—a miss Katty?

Twarz starego wojaka przybrała wyraz smutku.

Nic nie odpowiedział, zupełnie, jakby raziło go niespodziewane nieszczęście.

Cały pogrążony w poczucie swego obowiązku i odpowiedzialności, zapomniał na chwilę o swem dzieciuku, które kochał więcej nad wszystko w świecie, i o niem przypomniał mu ten cudzoziemiec, człowiek, który poznał ją dopiero przed kilku godzinami.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi żelazne i ukazała się Katty.

Jej wielkie oczy gazelli, powleczone smutkiem, pytająco przechodziły z ojca na obecnych tam oficerów.

— Ojczulku—daruj, nie mogłam się doczekać... Co się stało?

— Ach, biedne dziecko!

I dlatego, ażeby ukryć łzę, która spłynęła na siwe wąsy jego, podszedł do niej i pocałował ją w czoło.

— Chodźmy, — rzekł półgłosem. — Opo-
wiem ci tam wszystko...

Zapanowawszy nad sobą, odwrócił się przy ciężkich drzwiach i rzekł:

— Zdecydowane, panowie — wypełnimy swój obowiązek do końca...

Głuchy wybuch pocisku japońskiego był odpowiedzią na te słowa jego...

V.

Projekt inżyniera.

Maurycy Rembeau wyszedł z kazamaty, mieszczącej cysterny i udał się do oddziału maszyn, wzruszony widniejącem w oddali widokiem nieszczęścia i cały zatopiony w myślach...

Dwie salwy z wielkich dział fortecznych, które rozbrzmiały z wierzchołka fortu, nie przerwały marzeń młodego człowieka. I dopiero lejtnant Spark przywrócił go do rzeczywistości.

— Sytuacja nie może być tak rozpaczliwą, jak przypuszcza komendant. Czyż nie mamy w dostatecznej ilości zapasów żywności i bojowych? Czyż nie możemy zbudować maszyny do destylowania wody i zrobić ją zdatną do użytku.

Zauważywszy, że młody francuz słucha go z roztargnieniem, zwrócił się do robotnika, pilnującego biegu maszyny.

— Powiedźcie, Kerdoc, — rzekł, — czy nie można urządzić przyrządu do destylowania wody?

Zapytany, niepozorny człowiek, przedstawił dziwny kontrast z kolegami swymi o atletycznej muskulaturze. Odpowiedział szybko, nie przestając dawać baczenia na maszynę.

— Nie wystarczy nam rur, panie lejtnancie.

— Jakto? A ta, która prowadziła do pustej cysterny i niepotrzebna jest teraz...

Robotnik pokręcił głową.

— Przyrząd... tu wykonany... nie da wiele wody... odrazu...

Lejtnant Spark znów podszedł do Maurycego Rembeau.

— Pod pańskim kierunkiem, — nalegał, — Kerdoc z łatwością wykona przyrząd podobnego rodzaju. Przypuszcza pan możebność takiej budowy? Kerdoc — bardzo zdolny mechanik — najlepszy w warsztatach.

Inżynier w odpowiedzi na te słowa zrobił nieokreślony gest ręką i roztargniony spojrział na robotnika.

— Śmieszna figura, nieprawdaż? — rzekł cicho lejtnant, — przybył tu z Kanady, mieszkanina indjanina z portugalczykiem. Kogo tutaj niema w naszej armii!

Maurycy Rembeau nie rzekł nic, uści-

snął tylko rękę jego, i cały pochłonięty myślami swemi, udał się do przeznaczonej dla niego kazamaty i rzucił się na łóżko... Lecz nie mógł usnąć, i przewracając się z boku na bok, machinalnie sięgnął po rozwieszony celem wysuszenia ubranie. W bocznej kieszeni kurtki namacał swój portfel, wypełniony nie banknotami, których nigdy nie miał, a szkicami, rysunkami i wyliczeniami z aerostatyki.

Rozwinął je ostrożnie, rozłożył na stole i wykrzyknął z radością.

Na jednym z nich zobaczył bardzo szczegółowy rysunek, wykonany tuszem, i który dlatego nie uległ zepsuciu przez wodę, a który przedstawiał aeroplan, różniący się wielce konstrukcją od dotychczasowych płodów geniusza ludzkiego.

Młody człowiek dość długo przeglądał rysunek, stanowiący wynik dwuletniej pracy. Pogrążony w myślach, długo mu się przyglądał i naraz, jakby olśniony jakimś natchnieniem, wyprostował się i szybko zeszedł do oddziału maszyn. Rozłożył obydwie rysunki na warsztacie, gdzie pracował robotnik, nazwisko którego zapamiętał.

— Kerdoc,—zwrócił się do niego po angielsku,—wiecie, co to wyobraża!

Metys z roztargnieniem spojrział na ry-

sunki i ukradkiem, milcząc, popatrzył na Maurycego Rembeau.

— Nie macie żadnego pojęcia o tem?

Robotnik znów pomilczał, wreszcie odzukeł, nie podnosząc głowy:

— Ptak mechaniczny... wiem. Widziałem podobnego ptaka w Quebec, w zeszłym roku... na konkursie lotniczym...

— Jesteście obznajomieni ze sprawą motorów?

— Pracowałem pięć lat przy samochodach.

— Widzicie—oto te wygięte ramy zrobione są z aluminium lub ze stali. Czy znajdzie się tu stal w sztabach?...

Skinienie potwierdzające było jedyną odpowiedzią Metysa, widocznie nie lubiącego dużo mówić.

— Nie wiecie—czy jest w Medwey podobne płótno, okrywające skrzydła?

— To dotyczy dozorczy składów. Nie jestem z nimi obeznany...

— W takim razie—pozostawmy kwestję płótna. Zajmiemy się szkieletem! Czy uważacie za możliwe zbudować go pod moim kierunkiem.

Metys wziął rysunki, oglądał je blisko i długo, z miną znawcy, potem rzekł szybko:

— Na co to potrzebne?... Ażeby latać?

— Rozumie się! Dlaczegoż innego zacząłbym budować ten przyrząd!

— W rzeczywistości, latać?

— Przecież powiedziałem wam! Ten typ aeroplanów jest wypróbowany... Widziałem model jego, gorszy od tego,—trzymał się w powietrzu trzydzieści godzin.

— Trzydzieści godzin! — powtórzył metys,—a jaka szybkość jego?

— Siedemdziesiąt mil morskich na godzinę... Dziewięćdziesiąt przy sprzyjającym wietrze...

Lekkie drgnięcie mięśniów zdradziło wzruszenie i podziw milczącego metysa. Raz jeszcze spojrzął na rysunki i spytał:

— Pan chce zbudować ten aeroplan... tu?

— Tak!...

— I latać?

— Mówiłem wam...

— Dlatego, ażeby opuścić Medwey?

— Ma się rozumieć, nie na to, ażeby krążyć wokoło...

— Potrzebny będzie motor?

— Mam go...

— Ile sił?

— Osiemdziesiąt koni.

I znów badawczy wzrok metysa zatrzymał się na młodym inżynierze; zagadkowy człowiek był, widocznie, zainteresowany. Zaczął rozglądać rysunki.

— Skrzydła pańskie są ruchome?

Pytanie to zdziwiło bardzo inżyniera. Wykazywało ono wielką znajomość z zakresu aeronautyki, gdyż wykrzywienie skrzydeł, ruchomość ich oporowych płaszczyzn, stanowiły wyższość aparatów Wrighta podczas konkursów lotniczych.

— Tak,—odrzekł Maurycy Rembeau.

— W takim razie, może nim kierować jeden człowiek.

— Ściśle mówiąc, tak; jeżeliby nie potrzeba było uważać na motor.

— Na ile osób obliczony jest aeroplan?

— Na dwie. Byłoby nierozsądnie udawać się samemu w tak daleką podróż, lecz trzy osoby obciążłyby go zanadto.

Po chwili milczenia metys ciągnął dalej:

— Pan ma motor?

— Już mówiłem wam.

— Znajduje się w Łódce, którą pan pozostawił na brzegu?

— Tak!

— Prawdopodobnie jest uszkodzony: w to miejsce trafiło wiele pocisków.

— Spodziewam się, że nie ucierpiał... Łódź od strony morza zabezpieczoną była wielką skałą...

Maurycy Rembeau coraz bardziej zdumiewał się nad pytaniami, sypiącemi się na niego. Ten robotnik, obznajomiony z aeroplanami, bez wątpienia nie był zwykłym robotnikiem. Jeżeli zrodzona w głowie inżyniera idea, miała być urzeczywistnioną, to tylko przy pomocy tego robotnika. Lecz Rembeau nie mógł podzielić się nią z komendantem, zanim nie przekonał się o istnieniu środków dla jej wykonania.

— Powiedźcie,—nalegał,—czy uważacie

za możebne zbudować ten korpus przy pomocy tych środków, jakimi rozporządzacie?

— Mamy wszystko, co potrzeba.

— Czy można zbudować go w przeciągu trzech lub czterech dni?

Metys pokręcił głową.

— Wielu tu macie słusarzy?

— Dwunastu!

— To więcej, niż dosyć, jeżeli pracować się będzie dzień i noc. Który z nich jest majstrem?

— Ja!

— Znakomicie; chcecie pracować ze mną nad zbudowaniem aeroplanu?

— Zgadza się,—odrzekł metys po namyśle,—lecz pod warunkiem...

— Pod jakim?

— Że polecę wraz z panem...

Jasna, stanowcza i dziwna ta odpowiedź jeszcze powiększyła zdumienie młodego francuza. Znane mu były niektóre rysy charakteru amerykańskich żołnierzy i robotników. Wiedział, że żołnierze mało ulegają dyscyplinie, a robotnicy niedbale słuchają zarządu. Lecz nie stykał się jeszcze z podobnym typem robotnika, podlegającego regulaminowi wojskowemu, zajmującego odpowiedzialne stanowisko w fortacy, i mimo to stawiającemu swe

warunki, zanim zgodzi się pracować dla dobra ogólnego.

— Rola moja jest tu nieznaczną,—rzekł,—pomówię z komendantem o moim projekcie. On wyda polecenie co do was.

Metys machnął ręką, jakby mówiąc:

— Rób, jak chcesz! — i zabrał się do roboty.

Maurycy Rembeau znalazł się przed drzwiami, na których widniał napis:

KOMENDANTURA.

Machinalnie pchnął drzwi, nie zastukawszy przedtem, i gdy otworzyły się, postąpił naprzód parę kroków, lecz zaraz potem cofnął się, mrużąc słowa wytłomaczenia. Katty Gezey była w gabinecie i stała za krzesłem siedzącego tam majora. Objęła go za szyję i, nachyliwszy się ku niemu, zda się, szeptała słowa pociechy.

Zobaczywszy wchodzącego inżyniera, wyprostowała się i chciała ukryć swe zmieszanie pod słabym uśmiechem.

— Pani!.. Komendancie! Pozwoliłem sobie... znalazłem, zdaje się, sposób ratunku... Nie mogłem pokonać pragnienia podzielenia się z panem natychmiast...

— Pan pozwoli?..

Major wstał i odwrócił się do młodego

człowieka, starając się ukryć ślady swego wzruszenia. Lecz wyraz oczu zdradzał jego nastroj. Stary żołnierz płakał...

Na ten widok młody człowiek momentalnie przyszedł do siebie. Rozłożył rysunki na stole majora i wyjaśnił mu swój projekt w krótkich kategoriycznych słowach. Jeżeli dadzą mu potrzebnych robotników, podejmuje się w przeciągu tygodnia zbudować aeroplan, którego szczegóły zbadane są przez niego starannie. Kiedy aparat będzie gotów, jest pewien, że osiągnie na nim szybkość od 150 do 180 kilometrów na godzinę i w ten sposób w przeciągu jednego dnia dostanie się do Honolulu lub innego punktu, zkaąd można byłoby telegrafować do San Francisco wszystko, co mu polecą...

Kiedy skończył swe objaśnienie, ojciec i córka zamienili długie spojrzenie. U obydwojga zrodziła się jedna i ta sama myśl: idea bardzo śmiała, lecz chimeryczna—uważali ten projekt za szalony.

— Drogi inżynierze,—zaczął major: masz dobre serce, i wątpię, czy twój aparat, fundamentalnie zbudowany, mógłby dokonywać dalekie wloty. Lecz ztąd gdziekolwiek są tysiące mil. Nigdy, choćbyś do końca doprowadził budowę swego ptaka mechanicznego, nie pozwoliłbym ci ryzykować życia, gdyż

próba ta zakończyła by się fatalnie—upadkiem w morze. Wierzej mi pan, że będziesz tu pożyteczny.

Maurycy Rembeau gorąco protestował:

— Zaklinam pana, komendancie, — nie uważaj mnie za marzyciela. Pamiętaj, że pracowałem nad tym projektem dwa lata, że podobne aparaty latały trzydzieści godzin, nie opuszczając się na ziemię. Miss,—błagał dalej inżynier: bądź obrończynią mej sprawy —tyś dobrym genjuszem tej pustej wyspy. Przysięgam, że mogę tam się dostać, że się dostanę... Czuję w sobie taką moc, taką wiarę, że sam się zdumiewam. Powiem więcej —jestem pewien, że dotrę do San-Francisco, jeżeli uda mi się opuścić gdziekolwiek, ażeby zrobić zapas benzyny.

— Ojczulku,—rzekła podniecona młoda dziewczyna: teraz i ja wierzę... Trzeba pozwolić panu Rembeau zbudować jego aparat, i dać mu wszystko koniecznie potrzebne.

— Lecz, dziecię moje, ty nie wiesz, że do Oagu więcej niż 2000 kilometrów i więcej niż 5000 do San-Francisco. Jakżeż ty możesz przypuścić, że na wypadkowo i pośpiesznie zbudowanym aeroplanie można przedsięwziąć, bez możliwości opuszczenia się gdziekolwiek, tak daleką podróż. To szaleństwo,—powtarzam:

szaleństwo bohaterskie, lecz ja nie mogę na nie pozwolić...

— Ojcie,—przerwała młoda dziewczyna: ja wierzę! Wierz i ty tak jak i ja... Pozwól na tę budowę. Pan Rembeau dokona paru próbnych wzlotów... Ojcie, trzeba pozwolić, wierz mi! Twoja Katty ma dobre przecucia...

— Znalazłeś najpewniejszy sposób przekonania mnie,—panie Rembeau,—rzekł stary oficer: lecz jeżeli pozwolę panu jechać, zamysłasz dokonać tego sam?

— Nie, potrzebny mi będzie człowiek, obeznany z mechanizmem samochodu, który by obsługiwał motor. Zdaje się, że znalazłem takiego towarzysza—to Kerdoc.

— Kerdoc?—ze zdziwieniem spytała młoda dziewczyna.—To metys, pracujący w wydziale mechanicznym. Dla czego pan go wybrał?

— Dla tego, że prosił mnie o to i umie obchodzić się z motorami.

— Zgadza się, że będzie on cennym robotnikiem przy budowie, lecz jako pewny towarzysz podróży—to rzecz inna... Jak myślisz, ojczulku?

— Miss,—rzekł młody francuz ze śmiechem: pani zapomina, że na aeroplanie towarzysz zawsze jest pewny, jeżeli tylko nie zdecydował się w tajemnicy popełnić samo-

bójstwa przed odjazdem. Każdy zamach na prowadzącego aeroplan, kończy się upadkiem obydwóch...

— To prawda,—rzekła młoda dziewczyna, lecz będą niepokoić się, jeżeli pan pojedzie z nim. Pan z nim mówił? Obiecał mu?

— Nie, miss?

— W takim razie, niech pan nie daje mu obietnicy.

— Pojadę z tym, kogo pani sama przeznaczy.

W tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę wejść,—rzekł komendant, i do pokoju wszedł lejtnant Forster.

Wtajemniczono go w projekt inżyniera i zawołał.

— Spodziewam się, że weźmiesz mnie ze sobą; w ten sposób połączę się ze swoim pancernikiem.

— Bądź tego pewien,—rzekł Maurycy Rembeau, lecz czy obznajomiony jesteś z mechanizmem motoru?

— Nie mniej jak z torpedą Smitha. Z samochodami obznajomiony jestem jak palacz zawodowy...

— A więc Opatrzność zesłała pana,—rzekła miss Katty: pan Forster zjawiał się akurat w porę dla tego, ażeby pan nie mógł, biorąc z sobą Kerdoca, spełnić zamiar, który

z dziwnych powodów nie przypada mi do serca...

— Kobiece przeczucie, miss! Myśmy go pozbawieni,—rzekł lejtnant Forster: znam je dobrze, i nigdy nie żałuję, kiedy usłucham rady mej żony...

VI.

Gwiazdzisty sztandar.

W niespełną godzinę po wyrażeniu przez majora zgody, cały personel słusarzy i stolarzy całej fortecy oddany został do dyspozycji inżyniera francuzkiego.

Wszyscy już wiedzieli, co mają wykonać, straszna też ciekawość ogarnęła wszystkich stu czterdziestu obrońców Medwey'u.

Wszyscy zajęci byli robieniem przeróżnych wyliczeń oraz kombinacji, jak prędko przybyć może im z pomocą flota Stanów Zjednoczonych.

Lecz najważniejszą kwestję stanowiło pytanie, co stało się z główną częścią aeroplanu, z motorem, który w przeciągu trzydziestu sześciu godzin wystawiony był na działanie pocisków japońskich?

Postanowiono wprowadzić łódź z nim do fortecy, i miano dokonać tego w te krótkie chwile w ciągu dnia, kiedy okręty nieprzyja-

cielskie przerywały strzelaninę, i oficerowie, kierujący ogniem na wieżycach, otrzymali rozkaz unikania strzelania podczas rekonesansów, ażeby nie wywołać odpowiedzi.

— Będę sam obserwować ze szczytu fortecy,—rzekł major. — W pobliżu południowej wieży jest ufortyfikowane obserwatorium, z kąd strzelają na tą część brzegu, gdzieście wylądowali. Zobaczę was przez swą lornetę. Dacie mi znak czapką, jeżeli łódź jest nieruszona, z fortecy natychmiast uda się tam partja robotników z sznurami i dźwigami po to, ażeby wciągnąć łódź na linję osłoniętą, a następnie do wydziału mechanicznego. Skorzystam przytem z okazji i wypełnię jedną formalność, która z twojej winy, Katty, dotychczas wykonaną nie była.

Córka ze zdziwieniem spojrzała na niego.

— Nie domyślasz się? Haft twój skończony i jakieś mówiła wczoraj, ostatnia gwiazda gotowa.

— To prawda, ojczulku! Wszystko pamiętasz... W takim razie pozwól mi towarzyszyć sobie. Pamiętaj, że obiecałeś mi pozwolić podnieść go samej...

Lecz stary oficer przerwał jej:

— Nigdy, dziecię moje... Nie nalegaj, wierz dobrze, że tym razem będę nieugięty... Obietnica moja odnosiła się do czasu pokojo-

wego, lecz teraz toczy się wojna i tylko ja mogę podnieść na naszej fortecy gwiazdzisty sztandar...

Poczem, zwracając się do Maurycego Rembeau, dodał:

— Pewnie pan się zdziwił, że na szczycie naszej fortecy nie powiewa sztandar amerykański... To wina Katty,—ona to chciała, by nad Medweyem powiewał sztandar, wyhaftowany jej rękoma... Mieliśmy podnieść go uroczyście, lecz cóż, przyszła wojna... trzeba się wyrzec tej myśli... Teraz ja go podniosę... Bez mów, bez muzyki, a tylko trzy nasze wieże dadzą salwę, i to celując dobrze...

Tymczasem miss Katty weszła, trzymając w ręku wielki, jedwabny sztandar, czerwony z białymi pasmami, w jednym z kątów którego widniało 45 srebrnych gwiazd. Obwinięta tym sztandarem Katty wyglądała prześlicznie.

Zdjawszy usiany gwiazdami sztandar, doreczyła go ojcu. Maurycy Rembeau, porwany tym widokiem, zawołał:

— Trzy barwy Francji znajdują się na tym sztandarze, miss, że zaś jest to praca pani, pozwól zatem przysiąc mi na te emblematy obydwóch ojczyzn naszych, że jeżeli tylko uda mi się wznieść z wyspy, to zobaczę

znów ten sztandar, powiewającym nad Medwey'em, tylko po wykonaniu włożonej na mnie misji...

— Pan musi wrócić, — rzekła gorąco, — będziemy na pana czekać, jak na Mesjasza.

— I ty rzeczywiście myślisz, że pan Rembeau doleci do San-Francisco?—zawołał major, wciąż jeszcze niedowierzając.

— Jestem pewna, ojcuzku! Mówiłam ci już. Wierzę jakiemuś wewnętrznemu głosowi, który każe mi mieć nadzieję! Przytem, przysięgam, będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli ocalenie nasze zawdzięczać będziemy francuzowi...

— Komendancie, — mruknął inżynier, — łódka moja... należy obejrzyć ją... wszystko zależy od niej...

— Bądź pan rozsądnym, panie Rembeau,—rzekła młoda dziewczyna,—pan nie ma prawa ryzykować!

— Pójdę tam, — rzekł major, — kiedy, Katty, usłyszysz salwę z sześciu dział, to wiedz, że w ten sposób salutują sztandar.

Kiedy młody francuz, czepiając się skał, dopełził nareszcie do swej łodzi, z ust jego wyrwał się okrzyk rozpacz, do którego przyłączyły się przekleństwa lejtnanta Forstera, dającego w jego ślady.

Część łódki była odrzuconą na kilka metrów w bok, w otworze widać było części

stalowe, zardzewiałe od wody morskiej, w skrzynce z narzędziami było wyrwane dno, jedna śruba była oderwana. Wszystko to nie było uszkodzone, a tylko zerwane ze swoich miejsc...

— Motor zdaje się nie uszkodzony!—zawołał, przybliżając się lejtnant Forster.

— Tak myślisz?

— Ma się rozumieć! na pierwsze spojrzenie... oprócz śruby, którą można z łatwością przytwierdzić, nie widzę.

Niespodziewany wybuch przerwał ten frazes: w pobliżu wybuchnął pocisk japoński i silna fala powietrza uderzyła w nich. Na szczęście wiatr odniósł trujące gazy w przeciwną stronę...

Maurycy Rembeau, nie mówiąc ani słowa, zrobił umówiony znak czapką, że należy zabrać łódź, która się przydać może.

Ludzie przybiegli zgięci, śpiesząc się...

Lęk przed pociskami zdwoił siłę ludzi; w kilka minut potem łódź wciągniętą została na skały, a w kilka minut potem była już w fortecy. Cała operacja trwała nie dłużej nad dwadzieścia minut. Nie było tylko młodego francuza.

— Maurycy! — zawołał lejtnant Forster.

— Archibaldzie!

Teraz, gdy motor był bezpieczny, młody

człowiek chciał zobaczyć sztandar Katty, powiewający nad szczytem fortecy.

Zawrócił i naraz ujrzał między kolumnami dwóch wież—błyszczącą plamę błękitną.

Potem salwa z sześciu dział wstrząsnęła ciężką, skalistą piramidą...

W tejże chwili jakiś hałas dał się słyszeć i olbrzymi pocisk nadleciał od strony morza. Japończycy nie dali długo czekać na odpowiedź i krzyżowce Wschodzącego Słońca celowały pomyślnie: pocisk upadł między dwoma wieżami.

Rozpalona masa żelaza, rozsypująca się na tysiące kawałków, utworzyła w granicie płonący stos, rozsiewając w około siebie gęste chmury błękitnawego dymu, i sztandar znikł z przed oczu Maurycego.

Dreńczący lęk ogarnął duszę jego. Ojciec Katty znajdował się tam, na górze; dopiero co podniósł swój sztandar, gdyż, zdaniem jego, honor ten należał się jemu tylko.

Czyż był on ostrożnym w chwili wybuchu? Jeżeli zraniony, to czy starczy mu sił uchronić się przed duszącymi gazami, otaczającymi teraz fortecę lekkim, tęczowym obłokiem.

Inżynier pobiegł do mostu zwodzonego.

— Prędej! — krzyczał do zbliżającego się kapitana Brodway'a,—idziemy na górę!...

Komendant! Pokażcie mi drogę!... Tam... po-
cisk... upadł obok niego...

Weszli po schodach i, w półmroku pier-
wszej platformy Maurycy ujrzał białą suknię.

Katty zaczęła mówić coś do niego, lecz
kiedy Maurycy Rembeau, nie nie odpowiada-
jąc, chciał iść dalej, do góry, domyśliła się
zaraz.

— Ojciec!—wykrzyknęła.—Mój Boże!...

I pobięła schodami na górę, za obydw-
ma młodemi ludźmi.

Kiedy Maurycy wyskoczył za Brodwayem
na wąską platformę, w środku której wznie-
siony był maszt dla sztandaru, obłoki dymu
zaczęły się rozpraszać.

U podnóża masztu nieruchomo leżał ma-
jor Grey, z rozpostartemi rękoma. Siwe włosy
jego zbroczone były krwią.

Kapitan Brodway wydał głuchy jęk i za-
raz odwrócił ciało. Twarz zaczynała sinieć,
usta były otwarte, oczy zamknięte.

Inżynier ze swojej strony, ogarnięty neo-
kreślonym niepokojem, podniósł i posadził go.

Lecz tu ukazała się Katty i rzuciła się
na ciało ojca, wydając rozdzierający duszę
krzyk.

W tej chwili Maurycy poczuł niepojęty
ciężar w głowie: zaraz przypomniał sobie radę
lejtanta Forstera. Brodway ze swej strony

sprawił wrażenie pijanego. Młody francuz ude-
rzył go w ramię.

— Prędej, kapitanie! Bierz pan kome-
danta! Uciekajmy ztąd jaknajprędzej...

Pomimo zaczynającego się zatrucia, ol-
brzym zrozumiał, o co rzecz idzie. Podniósł
nieruchome ciało komendanta, zarzucił na
plecy i zbiegł na dół po schodach...

Ze swej znów strony Maurycy Rembeau,
widząc, że miss Katty osłabła zupełnie, por-
wał ją na ręce, i zaczął zbiegać w dół po
schodach.

W kazamacie, powróciła powoli do sie-
bie... Cała drżąca rzuciła się w objęcia ran-
nego ojca i w rozpacz, wzywała najczulsze-
mi imionami w francuzkim języku, jakby
w tych ciężkich chwilach życia smutek swój
wyrażać mogła tylko w języku przodków...

VII.

Wypadkowy aeroplan.

Major Gezey nie umarł.

Po dwóch długich godzinach, które wydały się bezgranicznymi młodej dziewczynie, drżącej u łoża ojca, rannemu zrobiło się lepiej.

Powstrzymawszy upływ krwi z rany, zadanej odłamkiem pocisku, doktor oznajmił, że jest promień nadziei.

Major był wyjątkowo mocnej budowy, być może, wyjdzie jeszcze zwycięzcą w tej walce ze śmiercią. Katty, zupełnie zmęczona, zdawało się, że zmartwychwstała.

Nareszcie major Gezey otworzył oczy i wzrok jego natychmiast upadł na młodą dziewczynę, nieśmiało nachyloną nad nim.

— Katty! Ubóstwiane dziecię moje, — wyszeptał słabym głosem: to ty! Dziękuję Bogu, że darował mi... te chwile... dla tego, ażebym znów zobaczył cię!...

— O, ojcie! Nie mów tego! Łkała młoda

dziewczyna, będziesz żyć... ja chcę tego!... Pan niema żadnych obaw, nieprawdaż, doktorze?

— Chory potrzebuje zupełnego spokoju...

— Nie będę więcej mówić... lecz powiedz mi... powiedz jemu, że nie powinien mnie opuszczać...

Naraz oczy rannego spoczęły na Maurycym Rembeau. Skinął, że chce mówić z nim, i wśród kazamaty rozległ się słaby głos jego:

— Łódka nie uszkodzona, mój przyjacielu.

— Nie, komendancie, — odrzekł młody człowiek, wzruszony tem pytaniem.

— I pan uważa swój plan za wykonalny?

— Bezwarunkowo!

— W takim razie proszę pana teraz... jedź jak najprędzej... przygotuj wszystko i jedź.. Opatrzność da mi żyć do twego powrotu...

— Prośba pańska, komendancie, jest dla mnie świętym obowiązkiem i odjadę..

— Za ile dni?...

— Za siedem, być może, sześć dni!

Ranny obliczał coś w pamięci i rzekł cicho.

— Przeżyję do tego czasu... Dziękuję panu za obietnicę i proszę, bądź łaskaw komunikować mi o codziennym postępie robót.

— Szczęśliwy jestem, że będę mógł codziennie odwiedzać pana...

— Jeszcze raz, dziękuję! A pan, panie Brodway, przyjm dowództwo nad fortecą... Rola moja skończona... Trzeba trzymać się... trzymać się, żeby tam nie wiem co, Brodway!

— Licz na mnie, komendancie! rzekł wzburzony olbrzym.

— Jeżeli japończycy wkroczą tu, — pan wie jak postąpić, Brodway? To pański święty obowiązek...

— Wiem, komendancie!..

— Klucze od składów prochu są w szufladzie mego biurka.

— Pan się męczy, komendancie! — rzekł doktor Sanderson: proszę pana...

— Dobrze, będę posłuszny... Katty, nie odchodź dziecię...

I głowa starca opadła na poduszkę...

Młody inżynier, opuściwszy pokój chorego, zajęty był jedną myślą, — jak można najprędzej zbudować swój aeroplan.

Kerdoc, jako majster, zajął się już w wydziale mechanicznym zbadaniem dostarczonego tam motoru...

Pomimo swej małomówności, majster nie mógł powstrzymać się, i gdy tylko zobaczył inżyniera, zaczął bardzo wychwalać maszynę...

— To, poprostu, mechanizm zegarowy, — mówił z miną znawcy: taki motor nigdy nie może się zatrzymać...

— Obejrzelście go?

— Nie puszczałem go w ruch, lecz obejrzałem starannie wszystkie jego części.

— Nie zauważyliście żadnych uszkodzeń lub braków?

— Nie, tylko lewa śruba jest skrecona.

— Przedewszystkiem powinniście, Kerdoc, zreperować ją. Oddacie potem go robotnikom, którzy zmniejszą grubość pilnikiem, doprowadzając ją w środku do jednego centymetra, a po bokach — do jednego milimetra. Zmniejszą

szymy w taki sposób wagę jego o kilka kilogramów...

Potem inżynier przeprowadził kredą linię po bokach łódki na to, ażeby według tej linii robotnicy obcięli przednią i tylną część jej...

Maurycy Rembeau ściśle określił miejsce skrzydeł, gdyż od tego zależała równowaga wielkiego ptaka.

Dla tego, ażeby uniknąć najstraszniejszej katastrofy, przewrócenia się ptaka, koniecznem jest, ażeby środek ciężkości znajdował się, jak można najniżej, tylko przy rozmieszczeniu płaszczyzn oporowych na dostatecznej wysokości nad maszyną.

Praca ta dokonywała się pod kierunkiem Kerdoc'a, który ze zdumiewającą łatwością połapał się w rysunkach, zrobionych dla niego przez inżyniera, a Maurycy Rembeau zajął się skrzydłami.

Była to rzeczywiście najoryginalniejsza część jego systemu i należało ją budować aż do najdrobniejszych szczegółów zupełnie na nowo.

Awiatorzy pod tym względem ostro różnią się w swych poglądach.

Większość przemawia za biplanem, przedstawiającym większe bezpieczeństwo; znany aparat braci Wright przedstawiał jeden z naj-

bardziej prostych typów tego systemu: dwie wielkie, leżące jedna nad drugą płaszczyzny, bardzo oddalone jedna od drugiej i z określonym wklęsnięciem.

Farman, Delagrang, Voisin, Ferber pochwalili tę konstrukcję, lecz rozdzielili korpus aeroplanu pionowemi, obciągniętymi płótnem, płaszczyznami, na wiadomą ilość klatek.

Obrońcy monoplanów, Bleriot, Peltier, Santos Dumont, Levasseur twierdzili, że tylko ten system, okazujący mniejszy opór powietrzu, nada aparatom szybkość, będącą najlepszą zapowiedzią równowagi i że przedewszystkiem w podobnych wypadkach koniecznem jest naśladowanie natury, to jest skrzydeł ptaka, przedstawiających jedną płaszczyznę.

„Naśladować naturę” radzili zwolennicy podwójnej powierzchni nośnej. Czyż człowiek naśladował naturę, kiedy wymyślił koło? Czy istnieje choć jedna żywa istota, która by poruszała się na kółkach? Tymczasem dzięki kółkom, osiągnięto tak wielką szybkość, jakiej nie mogą doścignąć najszybciej biegnące zwierzęta?

Po cóż tak zawzięcie naśladować ptaka?

Maurycy Rembeau wybrał średnią z pomiędzy tych dwóch systemów.

Skrzydła jego w dwóch trzecich swej długości przedstawiały biplan, a pozostała

jedna trzecia — monoplan. Nadał im w ten sposób wielką trwałość w miejscu ich złączenia i zachował wielką giętkość, zbliżając się do giętkości wielkich piór ptaka.

Ogólny wygląd jego aeroplanu nie przypominał ani jednego z demonstrowanych w Mans, Chalons i Betheny. Obydwie płaszczyzny znajdowały się w znacznie mniejszej odległości jedna od drugiej, niż u Wrighta i Voisina, i w pobliżu zakończenia skrzydeł, łączyły się w jedną płaszczyznę.

Inżynier określił ich formę na wzór podwójnego zgięcia skrzydeł wielkich ptaków morskich, a mianowicie—wielkiej czajki morskiej z czarnym grzbietem.

Te długoskrzydłe ptaki, rzeczywiście, drwią sobie z najsilniejszych wiatrów i można obserwować, jak spokojnie unoszą się nad samą powierzchnią wody, wśród najsilniejszych wichrów i wirów.

Rozstrzygnąwszy kwestję o kształcie skrzydeł, pozostało rozwiązać i inną, nader ważną — o kierowaniu niemi, rozwiązana przed wszystkimi przez braci Wright i dlatego też aparaty ich przez długi czas brały górę nad innemi.

Teraz wszyscy oddali się gorączkowej pracy. Składy, zapasy, maszyny, robotnicy—

wszystko oddane zostało do rozporządzenia młodego francuza.

Pierwszą troską jego było znalezienie odpowiedniego materiału na budowę skrzydeł.

Lecz kiedy rama jednego tylko skrzydła ukończoną została, stwierdzono fakt, że w ciastnym warsztacie mechanicznym niemożliwą jest budowa obydwóch skrzydeł odrazu.

Wtedy Kerdoc poprowadził inżyniera do wspaniałej groty, w której nie tylko aeroplan, ale i aerostat znalazłyby wygodne pomieszczenie.

Znajdowały tam się setki tysięcy tonn węgla, tworzące prawdziwe wały z obydwóch stron.

Kiedy Maurycy Rembeau z lejtnantem Forsterem weszli do groty, Kerdoc ustawiał już tam kuźnię polową.

— Znakomite pomieszczenie dla zmontowania aparatu, — rzekł: jeżeli pan pozwoli, będę tu nocować do samego odjazdu.

Inżynier zgodził się.

Widział dobry znak w chęci i gorliwości, okazywanych przez tego zręcznego robotnika.

Obawiał się tylko, że te dobre zamiary Kerdoc'a ulegną zmianie pod wpływem rozczarowania, kiedy dowie się, że nie weźmie go w podróż powietrzną. I dla swego spoko-

ju postanowił zawiadomić natychmiast Kerdoca o decyzji majora Gezey.

— Komendant jeszcze przed odniesieniem rany wyraził formalne życzenie pozostawienia was w Medwey, Kerdoc'u. Na wypadek zepsucia aparatów hydraulicznych, podnoszących wieże opancerzone — wy jedni możecie dokonać naprawy, trzeba się więc wyrzec podróży ze mną...

— I pan pojedzie sam?

— Nie, lejtnant Forster będzie mi towarzyszył!

Zapanowało milczenie. Na smukłym obliczu metysa nie ukazała się nawet cień niezadowolenia. Popatrzał swymi maleńkimi, błyszczącymi oczyma kolejno, na obydwóch młodych ludzi i rzekł spokojnie:

— To rozkaz... niech tak będzie...

I zaraz się zabrał do urządzenia warsztatu.

Na wieczór improwizowany warsztat ten był zupełnie gotów i praca przy drugim skrzydle posuwała się szybko naprzód.

Ośmiu robotników przeznaczonych zostało do drugiego warsztatu, który, siłą rzeczy, stał się głównym, gdyż tu, w miarę wykończenia, odbywało się montowanie mechanicznego ptaka.

Przeniesiono też tam i łódź od aerostatu i wkrótce miss Katty mogła przystąpić do obszycia skrzydeł płótnem „khaki“, jak to mu przyobiegała uczynić sama.

VIII.

Zdrajca.

Nie było ani jednego żołnierza w garnizonie, któryby w przeciągu ostatnich sześciu dni nie przyjął udziału w budowie aeroplanu.

Kto nie umiał piłować, lutować, łączyć śrubami lub pasować, ten pracował przy platformie węglowej, która była już gotową i przedstawiała przestrzeń przynajmniej 30 metrów długości a 10 metrów szerokości z widocznym pochyleniem w stronę morza.

Z obawy, ażeby jaki bądź pocisk nie uszkodził platformy, postanowiono czekać do nadejścia nocy z ułożeniem pomostu z desek,

Im dalej posuwała się robota, tym bardziej obłączeni interesowali się maszyną do latania, która miała przenieść flocie amerykańskiej błaganie ich o ratunek. Wszyscy byli pewni, że pomoc nie zjawi się wcześniej, nim goniec nie zawiadomi komendanta floty Oceanu Spo-

kojnego, admirała Hopkinsa, że Medwey nie poddał się jeszcze.

Teraz ptak mechaniczny prawie że był zakończony. Celem ulżenia w pracy, lódka przymocowaną została na grubym łańcuchu do sklepienia groty. I olbrzymi ptak, kołysząc się nad ziemią w odległości metra, zdawało się, iż krążył już w wyżynie...

Tworząc plan swego aparatu, Maurycy Rembeau nie liczył na podróż nad morzem, i dlatego nie wziął pod uwagę wypadku runięcia w morze, i nie próbował zapobiedz możliwości utopienia się.

Możność tak strasznego wypadku zwróciła uwagę Archibalda Forster, który przyłączył do aparatu dwa przyrządy, zabezpieczające przed zatonięciem.

Nareszcie w tyle łodzi, w rurkach metalowych, przymocowanych pod dnem, Maurycy Rembeau umieścił dwie silne rakiety bojowe, przygotowane i naładowane pod jego kierunkiem w Medwey'u.

Archibald Forster wziął na barki swoje troskę o zapasy. Zabrał ze składów Medwey'u mnóstwo baniek z benzyną i oliwą, i przymocował za maszyną. Zatrzymanie się motoru było kwestją życia dla aeroplanu. Dla tego też pytaniem pierwszej wagi była dostateczna ilość benzyny w rezerwuarze. Co zaś do za-

pasów żywności, to tych Maurycy Rembeau wziął stosunkowo niewiele.

Szóstego dnia wieczorem, Maurycy Rembeau puścił swój motor do maksymalnej szybkości, w przeciągu trzech godzin bez przerwy i w zupełności był zadowolony prawidłowym i lekkim jego biegiem.

Śruby robiły 1800 obrotów; przy takiej szybkości i przyjaznym wietrze, aeroplan mógł zrobić na godzinę od 160 do 170 kilometrów.

Wiatr był zupełnie sprzyjający.

W przeciągu sześciu dni wytężonej pracy, Maurycy Rembeau spał nie dłużej nad trzy godziny na noc, lecz za tą cenę wygrał jeden dzień. Dzięki umiejętnej i ciągłej pomocy Kerdoca, montowanie aeroplanu skończone zostało w połowie szóstego dnia.

Był to czwartek.

Drugą połowę dnia użyto na sprawdzenie motoru, prawidłowego działania różnych części, ruchów sterów oraz pochyłości skrzydeł.

Kiedy ujrzał swoje dzieło ukończonem, Maurycy Rembeau postanowił skorzystać jeszcze z dwunastu godzin i odjechać tegoż wieczoru.

Lecz lejtnant Forster zauważył, że byłoby zbyt ryzykownem puszczać się w drogę, nie dokonawszy próbnego wzlotu.

— Wzlot próbny, — odrzekł inżynier, obudzi tylko uwagę japończyków i spowoduje strzały działowe salwami do nas, gdy naprawdę ruszymy w drogę. Wystarczy siedem, osiem pocisków, puszczonych odrazu i... pójdziemy na dno.

— Lecz, możebne, że wyliczenia twoje są błędne w jakimś drobiazgu i upadniemy w wodę w czasie wzlotu.

— Nigdy! W awiacyi najważniejszą rzeczą są wyliczenia. Minęły już te czasy, kiedy chodziliśmy po omacku. A przytem istnieje jeszcze jedna przyczyna, nie pozwalająca mi na zgodzenie się na twoją propozycję, Archibaldzie, wzlot próbny wymagać będzie powrotu naszego do Medwey, i obawiał bym się złamać jedno z naszych skrzydeł o skałę, przy opuszczaniu się na ziemię podczas próby. Nie doszliśmy jeszcze do tego, ażeby opuszczać się, jak ptaki ostrożnie i w ściśle oznaczonym punkcie. Miejsce naszego opuszczenia się nie jest szerokie — to platforma, a za nią, jeżeli nie opuścimy się na jej oś—ściana skalista, o którą możemy z łatwością się rozbić. Nareszcie, wkrótce noc zapadnie. Czy możemy być pewni, że w ciemności znajdziemy drogę do platformy? Nie, wierzaj mi, drogi Archibaldzie, wzniosłszy się raz w przestworza, nie mamy nawet co i myśleć o powrocie tu.

Pod wpływem tych dowodzeń, a szczególnie zaufania dla przyjaciela,—oficer ustąpił.

Zostało zdecydowane, że aeroplan puści się w drogę następnego dnia, przy pierwszych blaskach świtu i okrążywszy Medwey, ażeby przekonać się o prawidłowem działaniu wszystkich części, opuści się na wyspę w razie stwierdzenia jakiej niedokładności.

— Jeżeli zaś wszystko pójdzie dobrze, —polecą prosto na wschód.

Maurycy Rembeau zaszedł do groty, ażeby wydać ostatnie polecenia.

Kerdoc również nalegał na dokonanie próbnego wzlotu. Przypuszczał, że cały następny dzień zostanie poświęcony temu, i że inżynier skorzysta z nocnej pory dla ostatecznego odjazdu, gdyż gwiazdy są najlepszymi przewodnikami w drodze, i księżyc od godz. 11 wieczór wznosi się wysoko na niebie.

Po przeczącej odpowiedzi inżyniera, nie nalegał więcej.

— Wszystko będzie gotowe,—rzekł: lecz panu, panie inżynierze, należy się odpoczynek.

— Myślałem o tem, będę spać tą noc.

— Lecz nie na materacu, w grocie, jak w te noce... Panu potrzebny jest zupełny odpoczynek, na łóżku, w kazamacie.

— Macie rację, Kerdoc, położę się jak

należy. Nie zapomnijcie postawić, jak zawsze, warty przy aeroplanie...

— Dziś będę pilnować sam.

— Lecz i wy jesteście również zmęczeni?

— Mogę wypaść się i potem...

Maurycy Rembeau uściśnął z uczuciem dłoń majstra. Powodzenie swej próby zawdzięczał częściowo temu znakomitemu robotnikowi i, wchodząc po schodach kręconych, wiodących na platformę komentanta, myślał o swych niesłusznych podejrzeniach przy pierwszym poznamieniu się metysem.

Postanowił pożegnać się z majorem Gezey i jego córkę...

Lecz major spał... Umówiwszy się z miss Katty, że przyjdzie ona na chwilę odjazdu jego, udał się do siebie, ażeby tam usnąć na parę godzin.

Lecz przez te parę nocy odwykł od dłuższego snu i w krótkim czasie zerwał się na równe nogi, by szykować się do odjazdu. Między innymi zabrał i rewolwer lejtnanta, kazamatę którego zajmował.

Przechodząc koło mieszkania komendanta, zobaczył drzwi odchylone, oraz miss Katty, czuwającą przy ojcu, który czuł się gorzej.

Wstąpił więc pożegnać się z nim.

Na widok inżyniera na twarzy rannego

ukazał się cień uśmiechu, i powoli, z trudem spytał:

— Pan odjeżdża?

— Tak, komendancie,—zaraz...

— Pan dojedzie, nieprawdaż? Trzeba dojechać...

— Dojadę, komedancie!..

Major Gezey westchnął przeciągle i znów zaczął przerywanym głosem.

— Nie można dopuścić... nie można, żeby sztandar, znajdujący się tam, na górze... dostał się w ich ręce... Jeżeli owładną Medwey'em, to będą bez litości... A Katty? Co z nią się stanie?

Nie dokończył... Chuda ręka jego błagalnie wyciągnęła się do młodego człowieka, który schwytał ją i gorąco uściśnął.

Maurycy Rembeau chciał odejść od łóżka, lecz major Gezey, który zamknął oczy z wyczerpania, otworzył je znów i rzekł.

— Dziś 12 czerwca. Kiedy pan wrócisz?

— Wrócę z flotą, komendancie! Było by szaleństwem wracać aeroplanem...

— Tak, trzeba wrócić z flotą... Lecz kiedy przypuszczalnie?

Każdemu innemu, oprócz tego umierającego, młody człowiek by odrzekł, że tego ściśle określić nie może, lecz jemu rzekł stanowczo:

— Wrócę do Medwey 21 czerwca.

— 21-go, — powtórzył stary wojak, za
dziewięć dni! Będę liczyć godziny. Dziękuję
panu, mój przyjacielu... Niech Opatrzność ci
towarzyszy i niech powróci cię nam...

Wyczerpany tą rozmową komendant le-
żał nieruchomo, z zamkniętymi oczyma.

Młody człowiek, pocichu, wyszedł z po-
koju, i na progu spotkał się z doktorem San-
dersonem, którego spytał się, czy spodziewa
się wyzdrowienia.

— Nie,— odrzekł cicho doktor, — płuco
zranione ma odłamkiem pocisku...

Uścisnął na pożegnanie dłoń doktora,
i wyszedł wraz z miss Katty, która oświad-
czyła mu chęć przyczepienia do aeroplanu
obrazku Madonny, opiece której oddawała
i jego, i jego ptaka...

Dokonawszy tego, zeszła z aeroplanu,
gdy naraz zobaczyli jakiegoś człowieka, scho-
dzącego ze schodów. Nie chcąc, by zobaczył
on ich, przeszli do ściany węglowej. Tam uj-
rzeli, iż na szczycie owej ściany stoi człowiek,
który przesyła sygnały świetlne.

Po chwili zszedł on i wtedy ujrzeli, iż
był to Kerdoc.

Maurycy Rembeau, myślał, iż ujrzy w rę-
ku jego latarnię, którą przesyłał sygnały,
lecz nie miał jej.

Prawdopodobnie pozostawił ją tam na
wyzynie, w miejscu niewidzialnem z fortecy.

Majster skierował się do tego miejsca
w grocie, gdzie był przymocowany na wiel-
kim haku łańcuch, podtrzymujący przy po-
mocy bloku, aeroplan.

Podszedłszy tam, zatrzymał się niespo-
dziewanie. Stał zupełnie blisko do końca je-
dnego ze skrzydeł i patrzył na nie, jak na
cudo.

To było, w rzeczywistości, cudo, gdyż
jedno z skrzydeł kołysało się.

Inżynierowi nie udało się zupełnie za-
trzymać ruchu skrzydła, kiedy zatrzymywał
aeroplan.

Kto tu był?

Zaintrygowany metys stał tak chwil kil-
ka, ze zmarszczoną brwią, przyglądając się
wielkiemu ptakowi. Potem obejrzał się wokoło,
poszukując niewidzialnego wroga, obecność
którego podejrzewał.

Naraz zauważył obrazek, przymocowany
do dźwigni.

Rysy jego wykrzywiły się.

Zrozumiał, że córka komendanta przy-
chodziła tu podczas jego nieobecności, ażeby
przymocować to do łodzi i wróciła do siebie.
Idylla i nic więcej.

Pokazał swoje żółte zęby. Przekroczył

potem dwa pierwsze stopnie schodów kręconych, i zaczął przysłuchiwać się. Wygląd jego był straszny i tak tajemniczy, że Maurycy Rembeau wsunął rękę do kieszeni i wyjął swój rewolwer, przyczem młoda dziewczyna poczuła na ręce zimne dotknięcie broni.

Rzekł jej cicho:

— Nie obawiaj się, pani... proszę się nie ruszać..

A Kerdoc tymczasem, zamknawszy drzwi na zasuwę, opuścił aeroplan, i wyjąwszy jedną z części motoru, wziął ją na warsztat i śpiesznie piłować zaczął...

— Łotr!—szepnął inżynier.

Tym razem manewr jego był wyraźnym. Po spiłowaniu do połowy lub dwóch trzecich owych części motoru, zrobił je tak nietrwałymi, że po przebyciu paru mil, musiały one uleść zepsuciu, co wywołałoby katastrofę...

Zdrajca pracował pospiesznie...

Prawdopodobnie bardzo późno pozbył się robotników i wartowników, i teraz chciał odrobić to, z planem czego nosił się od dłuższego czasu.

Inżynier poczuł, że na czole występują mu krople zimnego potu.

Szepnął do miss Katty;

— Miss, błagam cię... stój tu... nie ruszaj się...

Nic nie odrzekła, tylko wsunęła mu w rękę mały kindżał, w skórzanym futerale.

— Weź pan,—szepnęła cichutko:—ostrożnie... ostrze zatrute...

Poczuł w sobie męstwo i ostrożnie skierował się do zdrajcy.

Odgłos kroków jego tłumił piasek i skrzyp pilnika, w ten sposób Kerdoc nie posłyszał ich. Szedł, jak mógł najostrożniej, pod osłoną ściany...

Kerdoc nic nie słyszał...

Z tego miejsca Maurycy mógł strzelać w łotra prawie że napewno, gdyż znajdował się w odległości pięciu, sześciu kroków.

Lecz Kerdoc nachylił się nad warsztatem, obrócony plecami, i w tej pozycji można go było tylko zranić.

I Maurycy Rembeau, zgięty, oczekiwał.

Przeszła chwila, i majster powrócił do łodzi.

W tej chwili dał się słyszeć zdławiony krzyk w tem miejscu, gdzie pozostała miss Katty. Młoda dziewczyna, zmęczona strasznym niepokojem, nie wytrzymała i zdradziła swą obecność.

Maurycy Rembeau porwał się, trzymając w ręku rewolwer.

Lecz metys, nie zauważywszy go, rzucił

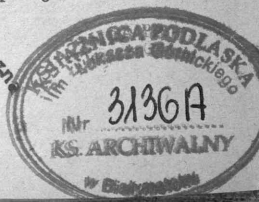
się już z kindzątem w rękę w kierunku podejrzanego miejsca.

Lecz zanim zdołał podnieść rękę, Maurycy wsadził mu kulę między oczy.

Kerdoc upadł jak snop.

Drugi strzał w ucho dał Maurycy dla pewności, że już nie wstanie...

Poczem rzucił się do młodego dziewczęcia, leżącego nieruchomo przy ścianie węglowej.



10712